

**etno
grafia
do
kieszzeni**

numer 5

krajewska, tuszko, lipińska

Autorzy: Agnieszka Krajewska, Feliks Tuszko, Katarzyna Lipińska
Zdjęcia: Feliks Tuszko, Narodowe Archiwum Cyfrowe
Redakcja: Anna Chlebicka, Anna Czyżewska, Róża Rzeplińska, Michał Głuszek
Redakcja numeru: Michał Głuszek
Korekta: Krzysztof Smólski
Opracowanie graficzne i skład: Wojciech Mejor

Druk:
Drukarnia EFEKT oraz pracownia Sito, ul. Lubelska 30/32, 03-802 Warszawa

Wydawca:
Stowarzyszenie „Pracownia Etnograficzna” im. Witolda Dynowskiego
00-553 Warszawa, ul. Koszykowa 24/12
e-mail: pracowniaetnograficzna@gmail.com
www.etnograficzna.pl

W publikacji wykorzystano teksty powstałe w ramach badań do prac dyplomowych w Instytutach Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Warszawskiego oraz Uniwersytetu Łódzkiego.

Wydanie I, Warszawa 2013
Nakład: 1000 egzemplarzy
Publikacja bezpłatna

Publikacja sfinansowana ze środków Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego.



ISBN 978-83-936208-5-2

etno grafia do kieszoni

Chwila nieistnienia	9
Agnieszka Krajewska	
Warszawiacy na Wojskowych Powązkach	29
Feliks Tuszko	
Stare Miasto	61
Katarzyna Lipińska	



Ethnography makes us notice the world, every odd part of it. It helps us become curators of the ordinary, historians of contingency, impossible realists.¹

Ethnography is fun.

James Clifford dla „Etnografii do kieszeni”

1 „Etnografia sprawia, że zaczynamy dostrzegać świat w całej jego złożoności. Dzięki niej stajemy się kustoszami codzienności, historykami przypadkowych zdarzeń, niemożliwymi realistami.”

Od redakcji

„Ethnography is fun” – napisał specjalnie dla Etnografii do kieszeni James Clifford, jeden z najbardziej znanych antropologów, który „badania terenowe” prowadził głównie w książkach innych badaczy. Niektórzy jednak wolą się przejść po mieście. Te dwie rzeczy nie muszą się zresztą wykluczać, dlatego piąty numer EdK to trzy – raczej nietypowe, bo etnograficzne – spaceru.

Agnieszka Krajewska przyjeżdża do Warszawy z Łodzi, ale zamiast opowiadać o egzotycznej podróży czy kulturowych różnicach, postanowiła ukazać nam „nie-miejsca” – przestrzenie w zasadzie wyzbyte lokalnych cech, podobne można spotkać na całym świecie. Pretekstem do opowiedzenia o nich jest, zdawałoby się trywialna, podróż warszawskim metrem.

Feliks Tuszko zabiera nas na Wojskowe Powązki, gdzie 1 listopada obserwował zachowania i przysłuchiwał się rozmowom odwiedzających nekropolię. W swoim tekście opisuje praktyki upamiętniania (i zapominania) kilku ważnych w historii Polski postaci.

Katarzyna Lipińska z kolei poszła na spacer na Stare Miasto, będące najważniejszą atrakcją turystyczną stolicy. Jej opowieść nie ma jednak nic wspólnego z tym, co możemy znaleźć w przewodnikach turystycznych – zamiast zwiedzać, rozmawia z nękającymi w tłumie turystów mieszkańcami. To raczej spacer przez powojenną historię tej dzielnicy, tak jak ją widzą i oceniają jej najstarsi rezydenci.

Zebraliśmy w tym numerze artykuły bardzo różnorodne. Każdy z nich jest efektem innej metody badawczej: znajdziemy tu i wywiady etnograficzne, i wnikliwą obserwację, i własne doświadczenia badaczki. Czy da się między nimi znaleźć jakieś podobieństwa? Wszystkie teksty w tym tomie łączy poszukiwanie jakiejś nieoczywistej perspektywy. Autor i Autorki patrzą na przestrzeń Warszawy – miejsca całkiem zwyczajne, odwiedzane na co dzień albo (jak w przypadku Cmentarza Wojskowego) od święta – nie tylko po to, żeby ją opisać, ale i sproblematyzować. Nadać jej nowe znaczenia, a także wydobyć na powierzchnię te dawniejsze, ale нефункционujące w powszechnym obiegu.

Czy można sobie na podstawie tych prób wyrobić jakieś wyobrażenie na temat etnograficznej „metody” patrzenia na świat? Czy taka „metoda” w ogóle istnieje? Może wystarczy po prostu uważnie słuchać i szybko patrzeć na rzeczywistość?

Chwila nieistnienia

Agnieszka Krajewska

Lipiec 2010 roku. Śladem setek (tysięcy?) łódzian ruszyłam do ich Ziemi Obiecanej XXI wieku – stolicy. Podzielając ich doświadczenia – i ja opuściłam rodzinną Łódź za pracą – postanowiłam opisać Warszawę ich, i swoimi, oczami.

Na Warszawę patrzę przez pryzmat zebranych przeze mnie opowieści łódzian, którzy w pewnym momencie swojego życia (rzadziej z powodu studiów, w zdecydowanej większości – w poszukiwaniu zatrudnienia), zdecydowali się zamieszkać bądź codziennie (oprócz weekendów) dojeżdżać do Warszawy. Zdarzają się i tacy, którzy w tak zwane dni robocze nocują w stolicy, zaś na soboty i niedziele wracają do Łodzi. Żaden z nich nie nazwał się „warszawiakiem”, wszyscy określali się mianem „przyjezdnych”, ja zaś, za jednym z moich rozmówców, nadałam im miano „rezydentów Warszawy”.

Stolica, którą przemierzamy, to kawałki przestrzeni zakłęte w „wyobrażeniach” Łódzian, ostatecznie jednak budujące obraz zamieszkanego przez nich miasta. Jak każdy szanujący się flâneur nie zdążamy do żadnego celu, nie mamy w planach odkrycia jednej wielkiej prawdy o Warszawie. Celem naszego spaceru jest droga sama w sobie, przyodziana w antropologiczne komentarze.

Zaczynamy tam, gdzie każdy przyjezdny – w nie-miejscu Dworca Centralnego. Jeszcze sprzed remontu z okazji Euro 2012 daje on pierwsze wrażenie, którego nie da się pominąć. Zapraszam do niespiesznego spaceru po przestrzeniach, którymi Warszawa wita przyjezdnych, które są dla nich znakiem jej (hiper)nowoczesności, metropolitalności.

Dworzec

„Warszawa Centralna. Pasażerom wysiadającym dziękujemy za wspólnie spędzoną podróż”. Nasza Łódź przycumowała do stolicy. Z godziną siódmą trzydzieści pięć¹ schodzimy z pokładu i nie zwlekając, zaczynamy naszą przechadzkę po porcie, w którym zakotwiczyliśmy. Za chwilę powinniśmy zostać oczarowani jutrzejszymi technologiami, rozwiązaniami najnowszej generacji, wszak „dworzec jest głównym, obok hotelu, wyznacznikiem unowocześnienia” (Pessel 2008, s. 65).

Wraz z postawieniem pierwszego kroku owiewa nas chłód szarych ścian; tej budzącej zachwyty i zazdrość architektów europejskich konstrukcji z betonu i szkła. „Zachwyty”, który pobrzmiwa w wypowiedziach współczesnych:

1 Godzina przybycia dawnego pociągu Łódzianin na stację Warszawa Centralna.

Myślę, że to jest taki bolesny symbol, ale nie, ja bardzo lubię też architekturę Dworca Centralnego, ale z zewnątrz. Nie uważam, żeby szpecił Warszawę, on taki w tych swoich kształtach duży, potężny, a ten dach, to taki nawet, powiedziałabym, jest mocno kosmiczny. Trzeba go trochę tylko podrasować i będzie dobrze².

Futurystyczna, masywna bryła – wizytówka Warszawy. Nigdy niedoszlifowana, nieskończona, przez lata „łatana”, dawna chluba stolicy, dziś straszy łodzian swoją kondycją:

Brudny jest nieміtosiernie, śmierdzi wszędzie i jest ciemno. Jest taki wizualnie mało atrakcyjny, ale nie że architektonicznie, tylko strasznie, ale to strasznie zaniedbany.

Szarości ścian się nie zmyje, a remonty nie zakładają rozświetlenia peronów pograżonych w czeluściach podziemi, w które zstępuje się, wysiadając z pociągu. Uwważaj! Stąpaj pewnie, bo możesz się poślizgnąć:

Ściany tam i nawet podłoga to wygląda tak, jakby ktoś to wysmarował, wytłuścił, jakąś grubą warstwą smalcu. I te szyby tam, tych sklepów, z tymi tłustymi paluchami. Wszystko takie to obślizgłe jakieś, takie obleśne. Ble.

Musimy nauczyć się spacerować po warszawskim Dworcu Centralnym; przy akompaniamencie komunikatów z głośników wypowiedzanych naszymi ustami pełnymi gorących ziemniaków, pomiędzy przytłaczającymi reklamami, z których uśmiechają się do nas piękne i szczęśliwe twarze, i wypełnionymi „maczkami” tablicami z rozkładami przyjazdów i odjazdów. Nie wpadać na głośno pracujące maszyny ze stali i nie ocierać się o „tłuste” sklepy. Zręcznie uchylać się przed falami rozdzwonionych

2 Pojawiające się w tekście wypowiedzi są fragmentami rozmów, jakie przeprowadziłam z łódzkimi rezydentami Warszawy. Opinie, które pojawiają się w tekście, są najbardziej popularne wśród moich rozmówców.

podróżnych, wylewających się z naszej Łodzi, a także uważać na bezpardonowo chodzące i zupełnie niegruchające gołębie; niektóre z nich położyły się już na torach lub siedzą za kratkami. Trzeba być czujnym, znaleźliśmy się w samym sercu nie-miejsca.

Nie-miejsce nie jest czymś złym, choć z dotychczasowego spaceru po Dworcu Centralnym można by było wysnuć takie wnioski: bycie nie-miejscem to jedynie specyfika tego obiektu. Wyraz „nie” faktycznie może, w ujęciu potocznym, być nacechowany negatywnie, ale w koncepcji Marca Augé – francuskiego antropologa, propagatora pojęcia nie-miejsca – słowo to jest jedynie podkreśleniem opozycji opisywanego przezeń typu przestrzeni, do innej kategorii badawczej, jaką jest miejsce antropologiczne. Miejsce jest obszarem wspólnym dla jakiejś zbiorowości, stałym, nieulegającym w krótkim czasie wielkim zmianom. Jest przestrzenią znaną, oswojoną, zamkniętą w granicach, wiąże się z historią i zbiorową pamięcią, przez co pozwala konstruować tożsamość użytkowników (Burszta 2010, s. XI). Nie-miejsce stanowi zaprzeczenie miejsca antropologicznego, jednak jest również przestrzenią, którą użytkuje wiele osób. Różnica tkwi w myśleniu o tym, co nazywamy wspólnym. W koncepcji francuskiego antropologa „wszystkich” oznacza tyle co „niczyje”, ponieważ cechami definiującymi te obszary są: ruch, przepływ, zmienność (wydajność), jednym słowem – tranzyt (Burszta 2010, s. XI). Pędzące, konstruowane wciąż na nowo nie-miejsca zdają się być dziećmi swoich czasów. Jakie imiona przyjmuje zatem nie-miejsce?

[...] trasy powietrzne i kolejowe, autostrady, ruchome przybytki zwane „środkami transportu” (samoloty, pociągi, samochody), porty lotnicze, dworce i stacje kosmiczne, wielkie sieci hoteli; wesole miasteczka, supermarkety, skomplikowane węzły komunikacyjne (Augé 2010, s. 53-54).

Nieumyślnie i bez złości, a jednak z premedytacją i na przekór koncepcji francuskiego antropologa, proponuję, by te ulotne, przelotowe, pędzące i nieustannie aktualizujące się przestrzenie przemierzyć krokiem spacerowym. Zapraszam zatem na przechadzkę. Zaczęliśmy od Warszawy Centralnej. Dworce jednak mają to do siebie, że stanowią, dosłownie, punkt wyjścia do dalszego doświadczenia miasta. Idziemy!

Opuszczamy zimne mury „miejsca zapomnianego przez Boga”. Zostawiamy je za sobą, idąc bez końca „tłustymi” podziemnymi korytarzami, prowadzącymi z Centralnego na Dworzec Śródmieście, obsługujący połączenia krótkobieżne. Kolejne nie-miejsce przemierzamy, za przykładem naszych łódzkich bohaterów, bez zawieszania oka na konkretnych elementach, by długimi, zatłoczonymi, budzącymi grozę tunelami Warszawy Podziemnej wydostać się na światło dzienne. Nie na długo.

Metro

Czujesz, jak dostajesz zastrzyk nowej energii, nogi już Cię niosą dalej, już dałbyś się im ponieść z ochoczą radością? Byłe przed siebie. Byłe do przodu. Byłe coraz wyżej zadzierając głowę. *City* warszawskie. Jest tyle miejsc do odkrycia. Wraz z całą rzeszą ludzi, już nie tylko przyjezdnych³, zostajemy wbici wprost na rozgrzaną do czerwoności Patelnię⁴. A tu – same dziwy! Mniej lub bardziej medialni grajkowie uliczni⁵, „tradycyjnie” odziani Indianie z fletami przy ustach i ukrytym w atrapie namiotu

3 W rozumieniu – z innych miast.

4 Potoczna nazwa – popularna wśród łódzian – placu znajdującego się przed stacją metra Centrum. Legenda miejska głosi, jakoby nazwa tego miejsca miała się wziąć od tego, że latem panuje tu niesamowita spiekota.

5 Jeden z uczestników popularnego programu rozrywkowego X-Factor – Gienek Loska – wielokrotnie dawał w tym miejscu koncerty.

magnetofonem, mężczyzna „od zawsze” grający nogami od krzesel na... krzesłach, które czasami przystraja plakatami pań z czasopism dla dorosłych panów. Słysząc rozmowy, telefony, śmiechy. Miejsce spotkań. Na poboczu Patelni kobiety sprzedające raz kwiaty, innym razem warzywa i owoce, ulokowała się tam także młodzież rozdająca ulotki. Dzikie tłumy. Nad miejscem króluje powstały z poszczególnych dźwięków remiks, wymieszany z panującym gwarem. Wszystko z jednej strony zamknięte ścianą pokrytą kolorowym graffiti, z drugiej „otwarte”: schodami, przejściem podziemnym, z którego znów dolatują do nas budzące niepokój zapachy, oraz dwoma szklanymi wejściami pod jednym z bardziej charakterystycznych znaków graficznych w stolicy: wielkim „M” wpisanym w koło. W rytmie dobiegających dźwięków znikamy w jednym z takich wejść – „kierunek Kabaty”.

Augé zauważa, że nie-miejsca osadzone w świecie rzeczywistym (ponieważ bywają także wirtualne), mogą przybrać dwie formy: być stojącymi gmachami, jak w przypadku Dworca Centralnego, bądź nieustannie „podróżować”, przemieszczać się z punktu do punktu, „być w trasie” – wówczas nie-miejsca przybierają postać środka transportu (Augé 2010, s. 53). Do takiego teraz zmierzamy.

Pierwsze kroki kierujemy w stronę automatu z biletami, by za Augé wykonać „«nieme» handlowe gesty” (Augé 2010, s. 53). Kiedy się zbliżamy, maszyna wyczuwa naszą obecność i krzyczy wielkimi literami: „DZIEN DOBRY!”, ewentualnie od razu wydaje polecenie: „Kup bilet”. Postusznie wyjmujemy kartę bankomatową lub „drobniaki” (banknoty są, owszem, mile widziane, ale nie ma co spodziewać się reszty) i rozpoczynamy „dialog [...] bezpośredni, ale [...] milczący” (Augé 2010, s. 68) ze stojącym przed nami urządzeniem. Nie będąc maszynami, jako ludzie jesteśmy tak bardzo niedoskonalimi, błądzimy, gubimy się, bywamy rozkojarzeni, popełniamy błędy i zdarza nam się zrobić coś złe, „powiedzieć” coś nie tak. Wówczas automat śpieszy z pomocą i mówi, co mamy poprawić,

gdzie się pomyliliśmy, motywuje: „Spróbuj raz jeszcze”. Częściej jednak surowo przywołuje nas do porządku: „Karta została wprowadzona nieprawidłowo”, „Wrzuć monety”. Z pokorą wykonujemy wszelkie dyktowane nam zadania, a w nagrodę otrzymujemy bilet podróży. Nic, tylko ruszać w drogę! Niemniej to nie koniec naszych milczących „pogaduch” z maszynami, statym wyposażeniem nie-miejsc. Stawiamy kilka kroków wprzód, aby zaraz natrafić na bramki, za którymi kryje się łódzkie Eldorado:

Metro! To jest to, co chyba najbardziej Kocham w Warszawie!

Zanim dostąpimy zaszczytu wejścia w skromne bo skromne, ale gęstotne i schludne⁶ progi metra, trzeba nam przekroczyć granicę. Podpatrując kolejki osób ślamazarnie przesuwające się do przodu przy sąsiednich bramkach, uczymy się. Jednakże trudno w tym morzu ludzi znaleźć kogoś, kto tak jak my podróżowałby na jednorazowy bilet, większość bowiem szybkim ruchem przeciąga nad czytnikiem karty miejskie lub – nie kwapiąc się nawet, by kartę wyciągnąć – przykłada całe portfele, torby, plecaki... Nie ma potrzeby wpisywania dodatkowych informacji w żadne okienka, rubryczki. Nie te czasy. Francuski myśliciel wyjaśnia: „Każdą kartę kredytową [i miejską – A.K.] posiada kod identyfikacyjny, który pozwala bankomatowi [a także, na przykład, bramkom metra – A.K.] dostarczyć jej posiadaczowi informacji, a jednocześnie przypomnieć reguły gry” (Augé 2010, s. 69). W tym wypadku – możliwość wyczytania z wyświetlacza, do kiedy „przepustka” jest ważna oraz uzyskania oczekiwanego sygnału dźwiękowego wraz z zielonym światłem na czytniku, oznajmającym zaakceptowanie karty, co wiąże się z odblokowaniem przejścia. O, jest! Znalazł się rodzynek, co też ścisła w dłoni niebieski kawałek tektury. Pilnie go obserwując, ponownie

6 W przeciwieństwie do oceny Warszawy Centralnej, o kondycji metra łódzianie wypowiedzieli się pozytywnie.

wykonujemy całą serię „niemych gestów handlowych”: ustawiamy się w małym przesmyku pomiędzy jedną a drugą bramką, czekamy, aż nastąpi zablokowanie bramki po dostępującym łask metra poprzedniku, wsuwamy wydany przez poprzednią maszynę papierek w szczelinę kolejnego urządzenia, tym razem zdecydowanie mniejszego, wyczekujemy na znak zgody (ten sam, co przy stałych bywalcach wyposażonych w karty wstępu), by móc wstąpić w jej włości i, nasłuchując zwolnienia blokady, wyczuwamy ten moment, gdy, na chwilę przyspieszając kroku, przechodzimy już na drugą stronę, wyciągając rękę w bok, by odebrać bilet przeżuty i wypluty przez maszynę.

Gdy stęsknieni do dworcowego mroku na powrót zstępujemy w podziemia stolicy, czeka nas przejażdżka ruchomymi schodami. Grzecznie ustawiamy się w rzędzie sformowanym po prawej stronie; lewą zostawiamy pustą, na wypadek gdyby ktoś potrzebował narzucić jeszcze większe tempo niż reszta pędzących do pracy ludzi i zbiec na dół – to opcja dla tych oczywiście wiecznie spóźnionych. Stoimy zatem ustawieni w milczącym tłumie ludzi, bo jednak większą interakcję udało nam się nawiązać z dwiema napotkanymi dopiero co maszynami. Nie dziwi jednak takie zachowanie ludzi w nie-miejscu. Tym bardziej że już w latach trzydziestych Walter Benjamin zauważał:

[...] a łączy ich jedynie ta milcząca umowa, która nakazuje każdemu trzymać się prawej strony chodnika tak, by obie mijające się fale tłumy nie zatrzymywały się wzajemnie. A jednak nikomu nie przychodzi na myśl poświęcić drugiemu choćby jedno spojrzenie. Brutalna obojętność, nieczułe zamknięcie się każdej jednostki w kręgu swoich prywatnych interesów (Benjamin 1975, s. 226).

Inne czasy, inna przestrzeń, a tak zbieżne zachowania. Augé spokojnie przypomina nam o ruchu, pędzie, zmienności wpisanej w nie-miejsce, my zaś podpowiadamy mu o tłumie, ścisku, hałasie, poczuciu zagubienia,

nerwowości wiszącej w powietrzu metropolii i mającej swoje ujście między innymi w takich przestrzeniach, i wędrujemy dalej. Lecz tym razem po nie-miejsku odbiegającym swoją naturą i kondycją od poprzedniego:

Nie śmierdzi. Tu w sumie jest tak może nie sterylnie, to za dużo powiedziane, ale na pewno tak miło. Ja przynajmniej nie kojarzę jakiegóż brudu w metrze.

Dodajmy od siebie, iż stacja metra, na której się znajdujemy, jest jasna i kolorowa. Jak, w opinii użytkowników tego środka transportu, każda inna. Druga twarz warszawskiej przestrzeni niczyjej.

Tymczasem przystajemy i czekając, aż na stację wjedzie skład metra, w ogólnie panującej atmosferze chaosu i bałaganu, próbujemy się odnaleźć – czytamy stację, bo jak zostajemy poinstruowani: „zapośredniczenie ustanawiające więź między jednostkami a ich otoczeniem w przestrzeni nie-miejsca dokonuje się poprzez słowa, a raczej poprzez teksty” (Augé 2010, s. 64). Kiedy z przytłaczających swoją wielkością billboardów, umieszczonych w szeregu na ogrodzeniu oddzielającym dwa kierunki jednej nitki, a uplasowanych *vis-à-vis* nas, wręcz wychodzą z ram napisy: „PROMOCJA!”, „NIE CZEKAJ!”, „TYLKO TERAZ!” – jesteśmy rozszarpywani przez całą serię najróżniejszych firm, marek, inicjatyw. Ikonosfera warszawskiego metra nie tylko tworzy nasze mentalne przedstawienia tego środka transportu, lecz także definiuje siebie samą poprzez hasła, którymi jest poobklejana, powypisywana (Augé 2010, s. 65). „Z góry”, czyli z pasażu handlowego znajdującego się nad samą stacją, patrzą na nas całe szeregi sklepów – poczytajmy, co mają nam do powiedzenia sklepowe wystawy i szyby. Często wydają nam rozkazy: „Pchać”, „Ciągnąć”, innym razem mniej lub bardziej uprzejmie (graficzną formą) informują: „Biletów ZTM nie sprzedajemy”, „Promocja! Studenci – 5%!!!” i wiele, wiele innych napisów, które zgodnie z podpowiedzią badacza tychże rozszyfrowujemy jako swego rodzaju „instrukcje obsługi” (Augé

2010, s. 65). Czytamy metro (jak wszystko – we fragmentach) poprzez magazyny, gazety, plakaty, ulotki rozdawane i rozrzucone po całej jego powierzchni. Są one wszędzie, dostępne za jeden uśmiech, a nawet i mniej, po to by przypomnieć „poprzez reportaże, zdjęcia i reklamy, o konieczności życia na miarę (lub na podobieństwo) współczesnego świata” (Augé 2010, s. 65). W niektórych wycinkach tej „przestrzeni niczyjej” proces naszego aktywnego czytania przeistacza się w pasywne oglądanie tego, co podane na tacy: sushi serwowane na ulicy Zgoda, samochodu marki Hyundai, podczas jazdy którym poczuć można wiatr we włosach (w słynnych warszawskich korkach) lub na wpół roznegliżowanej pani, której bieliznę można zakupić w salonie „Triumph” w Żółtych Tarasach. Zaatakowani nadmiarem obrazów (Augé 2010, s. 71), nie chcąc ponieść sromotnej klęski, polec tudzież poddać się – dać się ponieść nogom, a jeszcze lepiej dopiero co zakupionym samochodem podjechać w odświeżonej garderobie do najbliższego baru sushi – zaczynamy odliczać czas do przyjazdu metra. Nic to w porównaniu z sytuacją innych oczekujących. dzielnie walcząc z kuszącymi obrazami, toczą jeszcze drugą walkę z komunikacją miejską oraz otaczającym ich tłumem – walkę o dostanie się do pierwszego metra, które przyjedzie, oraz o bycie w pracy na czas. Rozpoczyna się jego czujne pilnowanie. Z pomocą przychodzą wszechobecne zegary, tablice informujące o wjazdach i odjazdach metra, które pośpieszą z informacją o każdym opóźnieniu (Augé 2010, s. 71). Póki co trwa odliczanie sekund do przyjazdu: 2:50, 2:40, 2:20... Trudno nie zgodzić się ze stwierdzeniem, iż: „rządzi tu aktualność i presja chwili. Nie-miejsca przemierzamy w pośpiechu i dlatego mierzymy je w jednostkach czasu. [...] Żyją w teraźniejszości” (Augé 2010, s. 71). Mijają sekundy, minuty, a nic nie nadjeżdża. Reklamy bombardują bez ustanku, wywieszki i nalepki – uczą wielkomiejskiego życia, ludzie nerwowo przestępują z nogi na nogę, panuje harmider i ogólne poruszenie, jest tłoczno i duszno, a metra nie widać. Sytuacja

się zagęszcza, „przestrzeń niczyja” również. Nikt już nie zwraca uwagi na krzyczącą do nas stację. Czekamy, my spokojnie, większość w niepewności. Jest! Na tablicy informacyjnej, w której stronę zadartych jest całe morze głów, pojawia się upragniony zielony napis: „WJAZD”. Cały tłum stawia jeden krok do przodu. Nie za blisko jednak, w głowach ozywają ostrzeżenia, aby nie zbliżać się do krawędzi peronu. Wyłania się, zbliża dostojnie, aczkolwiek nie ociężałe. Przystaje. Tłum napiera. Proponuję, abyśmy poczekali na kolejny skład. Warto wziąć sobie do serca słowa:

W ten sposób niedzielny drepczący po deptaku spacerowicz ustawia się w opozycji do wymijających się w przejściach podziemnych, do tych wbiegających po ruchomych schodach; zaś ten, kto z poczuciem niewątpliwej wyższości spogląda kątem oka na zamykające się przed nim drzwi autobusu [albo metra – A.K.] mogącego go zawieść do celu – do wszystkich tych, co wskazują doń na wyścigi, by zająć ostatnie wolne miejsca – spacer ma w sobie coś arystokratycznego (Kontowski 2009, s. 95).

Metro rusza. Stacja jednak nie opustoszała, nawet nie rozluźniła się znacznie.

Zdarza się często, że się nie dostaję do metra pierwszego, trzeba czekać. Ale też nie długo jakoś, najdłużej to darowałem sobie chyba z cztery składy. A potem to już sam nacieram.

I choć najrozsądniejszym wyjściem z zaistniałej sytuacji byłoby odwrócić się na pięcie i zostawić dziecko hipernowoczesności za sobą, nie jesteśmy w stanie zdobyć się na ten gest, ponieważ „to, co jest znaczące w doświadczaniu nie-miejsca, to jego siła przyciągania, odwrotnie proporcjonalna do atrakcyjności terytorialnej, do ciężaru gatunkowego miejsca i tradycji” (Augé 2010, s. 82). Poza tym, jak przekonywali rozmówcy:

To po prostu trzeba zobaczyć.

Nie możemy być gorsi, czekamy. Wreszcie przyjeżdża kolejny skład, na stacji odtwarzana jest sytuacja sprzed kilku minut. Tym razem, ustawiwszy się w strategicznym miejscu – w samym środku nacierającego tłumu – zostajemy siłą rozpędu i nacisku wepchnięci przez inne ciała do środka. Znajdując się w samym środku masy ludzkiej, nie mamy powodów do obaw:

Bałam się tego, że nie zdążę wsiąść, a drzwi się zamkną i nie zdążę wysiąść, i drzwi się nam zatrzasną albo nas przycisną – to były te dwie opcje. A trzecia opcja była w momencie, kiedy zobaczyłam, że komuś noga wpada między peron a metro, więc wtedy też się zaczęłam tego bać.

Nam szczęśliwie udało się uniknąć podobnych wypadków. Lecz na tym nie kończą się miłe niespodzianki tego poranka – tłum tak nami pokierował, że stanęliśmy idealnie na wprost dwóch wolnych miejsc siedzących! To co? Korzystamy z okazji? Czasem tłok płata miłe figle. Siadamy (nasz spacer przybiera bardzo współczesną formę) i kontynuujemy „czytanekę”. Do samodefiniowania się stacji Centrum dorzucamy to, co aż rzuca się w oczy, kiedy stajemy „twarzą w twarz” z wagonem metra, a także zaraz po szczęśliwym przekroczeniu progu – zakazy, nakazy i ostrzeżenia: „Po usłyszeniu sygnału nie wysiadać!”, „Nie opierać się o drzwi!”, „Uważaj”, „Awaryjne otwieranie drzwi [...] Nieuzasadnione użycie będzie karane” itp., itd. Nie-miejsca ponownie stają na wysokości zadania i pouczają nas, przywołują do porządku, jak to było podczas naszej bezgłośniejszej wymiany zdań z maszynami.

Jeden z użytkowników metra zauważa:

Tam jest mnóstwo, całe mnóstwo najprzeróżniejszych plakatów, reklam i całej reszty, więc jest na czym zawiesić oko, jak się tak jedzie tym metrem i jedzie.

Tak jak obszar stacji, tak i wagony metra są całe poobwieszane: reklamami produktów i usług, restauracji sushi, barów wegetariańskich, knajp Magdy Gessler, plakatami informującymi o najbliższych wydarzeniach kulturalnych lub apartamentowcach pod wynajem/do sprzedania na nowo powstałych osiedlach strzeżonych, a także kolorowymi mapami siatki stacji osamotnionej nitki metra. Na schemacie odczytujemy wszystkie „miejsca”, na których będą z metra wylewać się potoki ludu pracującego. Nazwy konkretnych stacji wyświetlają się także na ekranach zamocowanych na przodzie każdego z przedziału, a my: „nie przejeżdżamy już przez miasto, lecz godne uwagi punkty są sygnalizowane za pomocą tablic, na których rozpisany jest prawdziwy komentarz” (Augé 2010, s. 66). Ponadto, w momencie gdy zbliżamy się do którejś z nich, z głośników rozbrzmiewa męski głos, informujący nas, na jakiej wysokości jesteśmy. Słowo pisane zostaje wzmacnione i potwierdzone przez swoje werbalne „odbicie”. Słyszymy wobec tego kolejne nazwy własne, jako że przystanki warszawskiej kolei podziemnej są określane mianem obiektów, ulic, dzielnic, pod którymi aktualnie się znajdujemy: Politechnika, Pole Mokotowskie, Raławicka, Wierzbno, a których nie widzimy nawet przez okno, ponieważ jesteśmy w podziemnym nie-miejscu, gdzie „spektakl, po raz kolejny, jest tylko ideą, słowem” (Augé 2010, s. 66). Warszawskie miejsca, które widnieją w rozpisce metra, wyświetlają się na tablicach, a także rozbrzmiewają w pędzącym „pudle”, stanowiąc jedynie „okazję do pojawienia się tekstu [...], gdy przejeżdżający w rzeczywistości nie widzi sygnalizowanych jego uwadze szczególnych miejsc i jest tym samym skazany na czerpanie przyjemności z samej tylko wiedzy o ich bliskości” (Augé 2010, s. 66). Obrazy Politechniki czy Pola Mokotowskiego rozpościerają się znów, jak w przypadku tekstów ze stacji metra, wyłącznie przed oczyma naszej wyobraźni, tym bardziej że, jak mówi jedna z łódzkich rezydentek:

Zawsze jak tam jestem i słyszę, że to jest Plac Wilsona, to zawsze sobie obiecuję, że tam kiedyś po prostu wysiądę i zobaczę. Nie stację, chodzi mi o to, by wysiąść i wyjść z metra, zobaczyć ten cały plac. I jeszcze nigdy nie wysiadłam.

Wobec tego raczej ma francuski uczoney, wnioskując, że mało który z przejezdnych zdecyduje się na poznanie tego obiektu, jednakże: „w ten sposób abstrakcyjna przestrzeń, którą regularnie bardziej czytają niż oglądają, staje się im w dłuższej perspektywie dziwnie znajoma” (Augé 2010, s. 67). Na co rezydent odpowiada:

Nigdy tam nie byłem w sumie, ale wiem, gdzie to jest i trafiłbym, tak. Bo wiesz, że jest taka stacja metra?

Czuję się przytłoczona całą wizualną stroną metra, potrzebuję uciec wzrokiem, potrzebuję wyrzec gdzieś daleko, dostrzec, co się dzieje w innym punkcie miasta, czytać je. Zderzam wzrok z szybą i widzę odbicie wnętrza wagonu. Podziemne podróżowanie okrada podróżnych z możliwości obserwowania życia miasta. Za oknem, prócz tych wyciekniętych momentów, kiedy ujrzy się wreszcie coś innego, oświetlonego, całą drogę patrzymy na gołe mury. Widzimy miasto tuneli, wzrok zostaje zawieszony. Nie ma wśród podróżujących potrzeby wielkich widoków?

Metro lubię, bo można się szybko przemieszczać, nie stoi się w korku, ale nie lubię jechać metrem długo, bo się strasznie nudzę. W autobusie czy w tramwaju to możesz sobie popatrzeć na chmurki, na architekturę, co się dzieje, w metrze nie ma takiej możliwości, a więc staram się mieć ze sobą jakąś książkę, by czymś się zająć.

W takim razie zbombardowany przekazami słownymi podróżny, nie mogąc „uciec przez okno”, ponownie zagłębia się w lekturę. Rozejrzyjmy się skrupulatniej, jakie zachowania dominują wśród naszych współpasażerów.

Ciii... Tuż obok Ciebie miejsce zajmuje zaczytana kobieta, nade mną zaś – pochłonięty lekturą otrzymanej na stacji gazety – starszy pan. W ślad za nimi podąża niemała grupa osób; sięgają po książki, magazyny, ulotki reklamowe. Naprzeciw oczekiwaniom pasażerów wychodzi, po raz kolejny, także sama maszyna, która wyposażona jest w sprzęt elektroniczny przekazujący najświeższe informacje, oferty, wydarzenia... To nie koniec, na wspomnianych ekranach wyświetla się bowiem aktualna pozycja składu, temperatura na zewnątrz, imiona solenizantów – budzi się w nas poczucie kontrolowania sytuacji, teraźniejszości, czasu (Augé 2010, s. 71).

Dalsze refleksje antropologiczne musimy snuć półszeptem, by nie przeszkadzać tej części podróżujących zafascynowanych światem pisany/wyświetlanym. Umożliwia im to „bycie gdzie indziej, nie tu, utrudnienie lub uniemożliwienie komuś lektury jest więc ponownym osadzeniem go w opresyjnym nie-miejscu” (Chymkowski 2010, s. 139). Otaczający nas tłum wyrusza daleko, w siną dal wraz z każdą kolejną literką. Z miejsca, w którym się obecnie przebywa, można odплыnąć także z dźwiękami muzyki, która zwartym strumieniem wpływa do uszu jednej osoby, a do reszty dociera jak zza ściany.

Dobrze jest słuchać muzyki, jak się jedzie, to jest zupełnie inne, totalnie inne, kompletnie, doznanie! Inny odbiór, uwielbiam!

W rytmach dobiegającej do nas ze słuchawek mojego sąsiada muzyki (Grechuta?) – wracamy do „przestrzeni niczyjej”, by dalej wypatrywać relacji, jakie podróźni utrzymują z tą silnie osadzoną w teraźniejszości przestrzenią. Przedzieramy się wzrokiem przez tych z nosami w literkach, tych z głowami lekko zadartymi ku górze, ku telewizorom, oraz z głowami kiwającymi w rytmie na cztery czwarte, żeby natrafić na tych, którzy wszechobecnemu szumowi i tłumowi dali się ukołysać do snu. Tym gestem ucinają jakiegokolwiek powiązania mentalne i emocjonalne

z przestrzenią, „są ciałami w drodze” (Chymkowski 2010, s. 137), jednocześnie wchodzą z metrem chyba w najintymniejszą z relacji – zaufanie.

Bardzo często, oj, często, zdarza mi się kimnąć w metrze, a to dziwne jest troszkę, bo w tramwaju nigdy. Dobrze się śpi w metrze i nic mi się tam jeszcze nie stało, odpukać oczywiście!

W całkowitej opozycji do ucinających sobie drzemkę stoją podróżujący tandemami. Prowadzą rozmowy, w które, choć biernie, angażują się najbliżej stojące osoby. Chyba że dyskusja jest bardzo ożywiona, przez co wzbudzać może, choć ciche, to wielkie zainteresowanie całego nawet wagonu. Jak przystało na nie-miejsce i pojawiające się w nim słowa, dotyczą one częstokroć tego, co aktualne, co się dzieje na bieżąco w życiu prywatnym osoby mówiącej lub w kontekście globalnym. Najczęściej jednak, wraz z przekroczeniem progu wagonu, dialogi gasną; zamyka się naszą terażniejszość na klucz i podróżuje we wspólnocie milczenia.

Nie, ja w ogóle tego nie lubię, takiego gadania. Nie rozumiem w ogóle tego, nie pojmuję, tak opowiadać o rzeczach, nawet czasami na maksa intymnych, nie, jakoś nie mogę pojąć.

Niekiedy ogląda się i czyta, a następnie komentuje współczesność elektronicznie, ale na bardziej podręcznym ekranie – wystukuje się kolejne literki, budując nowe słowa, tworząc elektroniczne teksty, do granic możliwości odnosząc się do tego, co aktualne, co wydarzyło się wczoraj: „byliśmy w kinie, było cudownie!!! :)”, lub przed momentem: „zaspałam”, co trwa: „już jadę”, do tego, co nastąpi „spóźnię się 10 minut”, „Będę w domu po 18. Buziaki”. Mogą sięgać do niedalekiej przyszłości: „Jutro? Kawka? 19?” lub odwoływać się do stanów permanentnych: „Kocham Cię! :-*”. Podróźni wysyłają je – korzystając z chwilowego zasięgu na stacjach, znów prowadząc dialog z urządzeniem, przyjmującym

tym razem postać podręcznego, milczącego listonosza – w siną dal, czasem trochę bliżej.

Mój wzrok zatrzymuje się na młodym brunecie w lekkiej, czarnej marynarce i z torbą na laptopa. Mężczyzna zdaje się lekko zagubiony; nic nie czyta – żadnej literatury, prasy, ekranów, nalepek, nic nie słucha ani nie pisze, siedzi jednak prosto, wzrok wbijając w przestrzeń przed siebie. Jest ściśnięty przez sąsiadów, przygniecionych kolejnymi osobami. Wszyscy są razem i każdy jest sam, bo, jak wysnuwa smutną refleksję Wojciech Burszta: „przemieszczamy się zbiorowo, ale jednocześnie samotnie” (Burszta 2010, s. XIII). W obrębie jednego wagonu panuje ścisk, tłok, cielesna bliskość niemająca, mimo wszystko, swojego odzwierciedlenia w relacjach interpersonalnych, jako że „tak jak miejsca antropologiczne tworzą tkankę społeczną, tak nie-miejsca tworzą samotną umowność” (Augé 2010, s. 64).

Nasz brunet, choć zamknięty w jednym „pudle” z innymi, tak sobie przez te kilka minut podobnymi w zachowaniu, celu podróży, wyglądzie, nabiera wody w usta, a wzrok wbija w szybę przed siebie, na której, na tle szarych, kamiennych murów, zderza się ze swoim skonfundowanym odbiciem. Co gorsza, „jedyną twarzą, która się rysuje, jedynym głosem [...] są jego własne – twarz i głos samotności, tym bardziej zbijająca z tropu, że przywołuje ona miliony innych” (Augé 2010, s. 70). Mężczyzna ogląda się w szybie niczym w lustrze, dla mnie to jednak rozpaczliwe przeglądanie się w poszukiwaniu swojej tożsamości, z której został odarty wraz z odebraniem przeżutego przez kasownika biletu, jako że „przestrzeń nie-miejsca pozbawia tego, kto do niej wkracza, zwykłych uwarunkowań. Jest już tylko tym, co robi albo co przeżywa jako pasażer [...]” (Augé 2010, s. 70). A zatem kosztem swojej indywidualności został przyodziany w nową, tymczasową tożsamość osoby przemierzającej się.

Nagle na twarzy naszego bruneta pojawia się uśmiech. Czyżby zdał sobie sprawę, że to ulotne jestestwo, które wiąże się ze względną

anonimowością (Augé 2010, s. 70), może być swego rodzaju wyzwoleniem od codzienności, od tego, kim się było i będzie, kiedy wyjdzie się z warszawskich podziemi. Tu i teraz może dalej spokojnie delektować się „bierną przyjemnością braku tożsamości i bardziej czynną radością odgrywania roli [pasażera – A.K.]” (Augé 2010, s. 70).

Podróż dobiegła końca. Wraz z naszym pasażerem opuszczamy wagon. Wjeżdżamy na górę ruchomymi schodami, odprowadzani szeregami tekstów takich samych jak na stacji, na której wsiadaliśmy. Mężczyzna zaś ubiera się z powrotem w swoją tożsamość i nerwowo odbierając niemo krzyczący do niego telefon: „SZEŃ”, wchodzi w swoją nową-nienową rolę społeczną, którą przyjdzie mu odgrywać przez najbliższych osiem godzin.

Agnieszka Krajewska (1987) – ukończyła studia w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej na Uniwersytecie Łódzkim. Interesuje się takimi zagadnieniami jak: antropologia codzienności, antropologia miasta i antropologia w mieście. Ulubiony sport – flanerowanie.

Literatura

Augé Marc

2010 *Nie-miejsca. Wprowadzenie do antropologii hipernowoczesności*, Przeł. R. Chymkowi, Warszawa

Benjamin Walter

1975 *Twórca jako wytwórca*, Poznań

Burszta Wojciech Józef

2010 *Samotność w świecie nadmiaru. Przedmowa do wydania polskiego*, [w:] M. Augé, *Nie-miejsca. Wprowadzenie do antropologii hipernowoczesności*, Warszawa

Chymkowski Roman

2010 *Czytanie w nie-miejscu: Warszawska Kolej Dojazdowa*, „Kultura Współczesna” nr 4(66) s. 136–141

Kontowski Daniel

2009 *O spacerze i przemianach chodzenia. Simmlowska impresja*, „Res Publica” nr 7(197) s. 94–99

Pessel Włodzimierz Karol

2008 *Odór Warszawy. Poznanie miasta przez węch*, „Kultura Miasta Miasto w kulturze” nr 4(3) s. 63–79



Warszawiacy na Wojskowych Powązkach

Feliks Tuszko

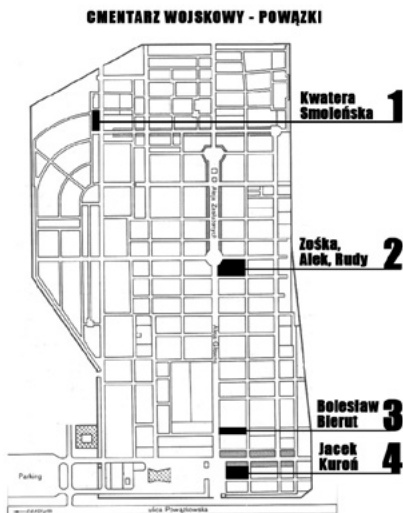
Pierwszego listopada poszedłem na Cmentarz Wojskowy na warszawskich Powązkach. Chciałem odwiedzić groby osób publicznych, wywołujących różne postawy i obdarzanych różnym szacunkiem. Wyszedłem z założenia, że pamięć wobec zmarłych jest różnie demonstrowana, nie tylko ze względu na to, kim byli za życia, ale też jak bardzo ich postaci były obecne w życiu publicznym po śmierci. Istnieje podstawa sądzić, że demonstrowana przy ich grobach pamięć znacznie się różni. W rozumieniu moich założeń istotne jest zastrzeżenie, że Cmentarz Wojskowy na warszawskich Powązkach jest najbardziej politycznym z polskich cmentarzy.

Badanie prowadziłem metodą obserwacji uczestniczącej. Tym, co najbardziej było tego dnia odczuwalne, było to, że Wszystkich Świętych jest świętem wszechobecnego tłoku – jechałem w ścisku w specjalnej świątecznej linii autobusowej, z trudem przecisnąłem się przez szeroką bramę, by ostatecznie zobaczyć przepętniony ludźmi cmentarz. Poza ściskiem równie odczuwalne było intensywne słońce przenikające się z jesiennym chłodem. Na cmentarzu spędziłem sześć godzin. Cztery groby, o których piszę niżej, wybrałem wcześniej z założeniem, że znacząco różny będzie charakter pamięci o pochowanych tam osobach. Wybrałem osoby znane, co do których miałem pewność, że nie zostały zapomniane. Znajdując się w miejscu obserwacji, notowałem zasłyszane rozmowy, przyglądałem się zachowaniom, gestom. Zmieniałem punkty, z których prowadziłem obserwację, tak by mieć możliwie szerokie spektrum perspektyw, dlatego podchodziłem do nagrobków, zapalałem znicze, by potem obserwować je też z większej odległości.

Powązki Wojskowe

Cmentarz, założony w 1912 roku z polecenia władz carskich, był miejscem pochówku żołnierzy carskiego garnizonu wojskowego. Rosjanie założyli go na ówczesnych północnych krańcach Warszawy. Gdy w 1918 roku Polska odzyskała niepodległość, zapadła decyzja o uregulowaniu statusu cmentarza – stał się wtedy oficjalnie Cmentarzem Wojskowym. Na Powązki zostały przeniesione ciała powstańców z licznych zrywów narodowowyzwoleńczych oraz ofiar walk polsko-bolszewickich, a po II wojnie światowej – groby powstańców warszawskich, by otoczeni czcią polscy żołnierze i uczestnicy walk powstańczych symbolicznie spoczywali w jednym miejscu.

Okres PRL otworzył nowy rozdział w funkcjonowaniu Powązek Wojskowych, których nazwa w 1964 roku została zmieniona na „Cmentarz Komunalny – Powązki”, a nekropolia stała się cmentarzem bezwyznaniowym. *Komunalne* miały stanowić symboliczną konkurencję dla *Starych Powązek*. Na „nowym” cmentarzu byli chowani dygnitarze PZPR, intelektualiści, dziennikarze, artyści, działacze społeczni.



W 1998 roku Rada Miejska Warszawy przywróciła nazwę „Cmentarz Wojskowy”. Jednak są tam chowani prawie wyłącznie zasłużeni dla Polski cywile.

Jedno się nie zmienia – Wojskowe Powązki są cmentarzem politycznym. Zauważalna jest pewna tendencja polegająca na tym, że wraz ze zmieniającą się władzą, w szczególności w kontekście wielkich przemian

ustrojowych, przeprowadzane są na nim „porządki”, tak by wyrażał dominującą koncepcję historyczną. Cmentarz Wojskowy ma być emanacją polskiego patriotyzmu. Patriotyzm jednak zmienia swój charakter w zależności od tego, kto rządzi Polską w danym momencie. Zjawisko to widoczne jest w tym, czyje groby się eksponuje, a których istnienie się „przemilcza”. Kiedyś wyróżniony, grób Bolesława Bieruta dziś jest zupełnie niewidoczny, bo zasłania go wysoki żywopłot. Najlepiej widoczne miejsce w Alei Zasłużonych zajął grób Ryszarda Kuklińskiego, którego pochowano tuż przy głównej bramie w 2004 roku. Decyzję o tym, kto zostanie pochowany w Alei Zasłużonych, formalnie podejmuje prezydent miasta. Przeprowadzający historyczne „porządki” różnego rodzaju decydenci nie byli w stanie usunąć tego, co zostało „odziedziczone” po poprzednich gospodarzach. Respektowali istnienie niektórych grobów, ponieważ groby jako takie są otoczone szczególną ochroną. Jakakolwiek próba ich naruszenia spotyka się z ogólną krytyką. Dlatego dzisiaj w niewielkiej przestrzeni cmentarza i bliskiej odległości znajdują się groby, których symboliczne znaczenia wzajemnie mogą się wykluczać.

Upamiętnianie i demonstracja

To, co przed badaniem występowało jedynie w sferze mojej intuicji, po jego zakończeniu stało się dla mnie oczywiste: 1 listopada obserwowałem pamięć, jej charakter i związane z nią praktyki upamiętnienia. Mowa tu o pamięci zbiorowej, która, jak pisze Lech Nijakowski w eseju *Polska polityka pamięciowa*, powstaje ze „ścierania się rozbieżnych wizji” historii. Z tego ścierania „wyłania się wspólne wyobrażenie przeszłości i jej ocena” (Nijakowski 2004, s. 43). Pamięć zbiorowa ujęta w ten sposób dobrze nadaje się do opisu obserwacji Cmentarza Wojskowego,

gdyż uprawiane tam praktyki upamiętniania mają swój udział w kreowaniu tożsamości. Jak pisze Dagnostaw Demski: „Pamięć o przeszłości zajmuje często ważne miejsce w teraźniejszości mieszkańców. Bez odniesienia do przeszłości nie mogliby oni pojąć znaczenia swego życia” (Demski 2000, s. 83).

W przestrzeni cmentarza ścierają się więc ze sobą nie tylko różne wizje historii, ale także indywidualna pamięć pojedynczych osób. Cmentarz, jako przestrzeń wspomnienia, jest miejscem szczególnie wrażliwym: intymność naszego przeżywania zostaje poddana upublicznieniu. To, co wyraźnie osobiste, należące do sfery *sacrum*, może stać się przedmiotem czyjejs oceny, która może być bardziej dotkliwa niż podobna ocena wyrażona w codzienności.

Specyfika Powązek Wojskowych wynika z tego, że motywacja, by upamiętnić zmarłego, nie bierze się z więzów pokrewieństwa, a raczej jest wyrazem szeroko rozumianej bliskości m.in. ideowej, intelektualnej, politycznej czy związanej z sentymentalnymi przeżyciami. W związku z tym okazywana na Powązkach Wojskowych pamięć przybiera charakter demonstracji. Ludzie przychodzą na ten cmentarz przede wszystkim po to, by ich praktyka upamiętnienia stanowiła komunikat wysyłany na zewnątrz, do innych. Odwiedzający pokazuje, sobie i innym, że osoba, na której grobie składa wizytę, jest istotnym elementem jego życia. Zazwyczaj taka wizyta zachowuje swój prywatny (osobisty) charakter, zdarza się jednak, że czyjaś wizyta nabiera publicznego charakteru, jak w przypadku polityków, którzy wiedząc, że są obserwowani, bardzo dużą wagę przywiązują do tego, w jaki sposób ich zachowanie zostanie odczytane przez osoby postronne.

Demonstracje na Powązkach Wojskowych mają swoją tradycję. Od początku lat 70. XX wieku 13 kwietnia ludzie gromadzili się na Cmentarzu Wojskowym, w miejscu nazwanym potem Dolinką Katyńską, i składali hołd polskim oficerom zamordowanym przez Rosjan w Katyniu. Wiele

osób w corocznych obchodach organizowanych przez Komitet Katyński demonstrowało pamięć o oficerach, niezależnie od niechętnych temu władz. Taka demonstracja pamięci była przecież sprzeczna z ówczesną, zwróconą ku Związkowi Radzieckiemu, polityką.

W przypadku Cmentarza Wojskowego funkcja grzebalna przechodzi na dalszy plan. Istotniejsza od niej wydaje się funkcja symboliczna, w ramach której poszczególne groby niosą ze sobą znaczenie pozwalające odwołać się do wspólnej pamięci. W takim ujęciu nagrobki nabierają charakteru pomników, których swoistą cechą jest, jak pisze Lech Nijakowski, to, że pomnik „jest nie tylko znakiem podzielanych wartości, ale także symbolem rozdarcia społecznego na wrogie wspólnoty pamięci” (Nijakowski 2004 s. 25). To właśnie konfliktująca właściwość grobów na Powązkach Wojskowych okazuje się jednym z najistotniejszych elementów ich specyfiki, któremu zdecydowałem się przyjrzeć.

Przestrzeń eksploracji

Pierwszego listopada 2013 roku skupiłem się na obserwacji czterech mikrorzeczywistości skoncentrowanych wokół czterech różnych miejsc pamięci – grobów pochowanych wspólnie harcerzy: Alka, Rudogo i Zośki, grobowca Bolesława Bieruta, grobu Jacka Kuronia oraz pomnika ofiar katastrofy smoleńskiej. Te cztery rzeczywistości, choć zamknięte w formę nagrobka, zostały zbudowane z wielu elementów – życiorysu pochowanej osoby, kontekstu historycznego, przestrzeni, wyznawanych wartości, bieżącej debaty publicznej. Najistotniejsi w budowaniu ich znaczeń są jednak ludzie, którzy poprzez swoje praktyki upamiętniania (lub też ich brak czy kontestację) tworzą relacje między wymienionymi wyżej elementami i ożywiają te złożone mikroświaty.

Swoim zachowaniem interpretują, oceniają, nadają symboliczne znaczenie. Analiza zachowań ludzi odwiedzających żołnierzy batalionu Zośka, I sekretarza, opozycjonisty i grupę osób publicznych doprowadzi nas do dokładniejszego poznania tych rzeczywistości.

Stawomir Sikora w tekście „Antropologia pamięci” pisze o ambiwalencji znaczeniowej łaćńskiego słowa „sacer”, które może oznaczać zarówno coś świętego, jak i przekłętogo. Sikora pisze o przestrzennym i symbolicznym „centrum” cmentarza, gdzie chowane były osoby społecznie najbardziej poważane, oraz o odnoszącej się do niego „granicy” czy „rogu”, gdzie chowane były osoby społecznie odrzucone, np. samobójcy (Sikora 1986 s. 60).

Na podobnej ambiwalencji została zbudowana moja analiza, która będzie przebiegała od opisu i rozpoznania przestrzeni skupionej wokół konkretnego grobu do próby wyodrębnienia dwóch sfer ludzkich zachowań – „bliższej” i „dalszej”. Jednak trzeba pamiętać, że nazwy owych sfer zachowań związane są wyłącznie z ich przestrzennym odniesieniem do nagrobka. W „centrum” ludzie umieszczają się niezależnie od tego, w której sferze się znajdują. Następnie względem swojego położenia odnajdują „granicę”.

Pierwsza sfera – „bliska” – będzie związana z kontemplacją i osobistym przeżywaniem. Osoby w tej sferze swoim zachowaniem będą demonstrować bliskość i przywiązanie do zmarłego. Natomiast druga sfera – „dalsza” – będzie najmocniej związana z krytycznym komentarzem, który na cmentarzu pojawia się między innymi dlatego, że sytuacja odwiedzin zmarłych jest dość nietypowa. Wizyta z jednej strony przybiera często charakter rodzinnego spaceru, z drugiej sąsiedztwo grobów buduje poczucie, że nie powinno się rozmawiać o przyziemnych, domowych sprawach. Ludzie szukają więc zastępczych tematów rozmów w otoczeniu i idąc przez cmentarz, nieprzerwanie krytykują.

Alek, Rudy i Zośka

Przestrzeń

Kwatera wojenna A20, mieszcząca się po prawej stronie od głównej alei cmentarza, jest miejscem pochówku 214 harcerzy, którzy zginęli w działaniach militarnych w trakcie II wojny światowej. Większość z nich poległa, walcząc w Powstaniu Warszawskim. Zostali pochowani w identycznych grobach – ich charakterystycznym elementem jest brzozywy krzyż, który na przecięciu ramion ma umieszczoną czarną tabliczkę z wypisanymi imieniem i nazwiskiem. Cała prostokątna kwatera złożona jest z kilkunastu rzędów takich nagrobków. Przestrzeń kwatery jest tak skonstruowana, by żaden z pochowanych tam harcerzy nie był wyróżniony.

Pośród nagromadzenia brzozowych krzyży znajdujemy położone obok siebie dwa groby, w których pochowana została trójka przyjaciół: Jan Bytnar „Rudy”, Maciej Dawidowski „Alek” oraz Tadeusz Zawadzki „Zośka”. Dwaj pierwsi, według ich życzenia, zostali pochowani razem.

Harcerskie biografie są owiane aurą świętości i męstwa: chłopcy stali się symbolem powstańczego zrywu dzięki *Kamieniom na szaniec* Aleksandra Kamińskiego. Kamiński zbudował mit bohaterów, którzy nie mając szans, podejmują walkę z okupantem. Ich historia kończy się tragicznie – „Alek” umiera w wyniku tortur gestapo, „Rudy” ginie w trakcie odbicia przyjaciela z rąk Niemców, a „Zośka” podczas próby przejścia niemieckiego posterunku.



Fot. Feliks Tuszko

Dzięki powieści postaci „Alka”, „Rudego” i „Zośki” stały się istotnym elementem tożsamości warszawskich harcerzy, a ich biografie są przykładem postępowania dla następnych pokoleń. Maryla Strzembosz, harcerka, siostra Macieja Dawidowskiego, podczas rocznicowych obchodów Akcji pod Arsenalem mówiła:

[Alek] mówił nam wtedy, jak ważne było dla niego, że dla przyjaciela poświęcił wszystko. Takie cechy, jak poświęcenie, przyjaźń, odwaga były wtedy i są nadal ważne. Są dla nas drogowskazem. Pamiętamy o bohaterach „Kamieni na szaniec”. [...] Dzisiaj mamy naszą postawę i czynami dowodzić, że jesteśmy godnymi następcami tamtego pokolenia¹.

1 <http://wiadomosci.onet.pl/warszawa/obchody-70-rocznicy-akcji-pod-arsenalem/s3z5k>

Groby trzech harcerzy, choć zajmują centralną pozycję w pamięci o bohaterach z okresu II wojny światowej, w żaden sposób nie zostały wyeksponowane przez władze cmentarza. Od głównej alei oddziela je kilka innych grobów, nie różnią się też wyglądem od innych w tej kwaterze. Wyróżniają je za to odwiedzający mogiły – na brzoźowych krzyżach wieszają czarno-białe zdjęcia twarzy, nad którymi zostały związane harcerskie chusty. Jest tam też tabliczka z napisem *Jesteśmy dumni, mając Was za wzór.*

Prowadząca do każdego z grobów wąska ścieżka sprawiła, że bliżej podchodziły wyłącznie osoby nieprzypadkowe, które wiedziały, kto został tam pochowany. Pozostałe osoby odstraszał tłok na niej panujący. To właśnie zadecydowało o tym, że w przypadku tych grobów nie tworzy się dalsza sfera pamięci.

Blisko

Do grobów „Alka”, „Rudego” i „Zośki” podchodzili ludzie, którzy wiedzieli, dokąd idą, ich działanie miało charakter celowy. Miejsce wokół grobów było poczekalnią, a odwiedzający harcerzy stali w kolejce, w której należało wyczekać, by móc stanąć wreszcie naprzeciwko brzoźowych krzyży z tabliczkami. Niecierpliwy tłum sprawiał, że sytuacja odwiedzin tych grobów stawała się niekomfortowa. Odczuwalna była presja, by dopuścić przed grób tych, którzy jeszcze tam nie byli. Często było słychać

Przepraszam, czy mógłbym przejść?

a odwiedzający stali bardzo blisko siebie, dotykając się, potrącając i przydeptując sobie nawzajem stopy. Konieczność dopuszczenia do mogił kolejnych odwiedzających stała w konflikcie z tym, że prawie każdy

chciał chwilę przystanąć, zamyślić się czy wspomnieć – opowiedzieć coś o pochowanych tam osobach.

Mogily powstańców odwiedzali głównie młodzi harcerze i dorośli, którzy byli członkami ruchu harcerskiego w przeszłości. Teraz część z nich przyproceedziła na cmentarz swoje dzieci. Niemal każdym takim odwiedzinom towarzyszyły opowieści o tym, kim byli „Alek”, „Rudy” i „Zośka” i czego dokonali.

Dlaczego tak istotne jest werbalne wspomnienie tych trzech harcerzy? Pamięć o nich jest dla wspominających osobiście ważna lub jest elementem budowania polskiej tożsamości. Z kolei tradycją warszawskich harcerzy jest odwiedzanie tych grobów. Obok motywacji osobistych, ważny jest aspekt formacyjny tych wizyt: drużynowi lub zastępowi przyprowadzają na Powązki swoich podopiecznych, by ci przyjęli za wzór postępowania, jako swoistą etykę harcerską, biografie wojennych bohaterów.

They are the most famous polish scouts.

– młody harcerz przedstawił zmarłych dwójce skautów z zagranicy. Pierwszego listopada przyprowadził tam znajomych, którzy nie znali „najbardziej znanych polskich harcerzy”. Polak uznał za istotne przekazać pamięć o nich. Wydaje się, że „Rudy”, „Alek” i „Zośka” stanowią dla niego osobiście archetyp harcerza. Bez znajomości tego wzorca nie jest do końca możliwe odpowiedzenie na pytanie: „jeżeli jestem harcerzem, to kim w zasadzie jestem?”.

Bolesław Bierut

Bolesław Bierut² był pierwszym przywódcą Polski Ludowej. Jego zadaniem było odbudowanie kraju z wojennych zniszczeń oraz umacnianie jedynowładztwa Polskiej Partii Robotniczej, a następnie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Propaganda przykładała wiele starań, by ludzie postrzegali go jako silnego, charyzmatycznego polityka, męża stanu, bojownika o dobrobyt ludu. Wielu Polaków dało się uwieść jego osobie – pisano o nim wiersze, stawiano mu pomniki, wysyłano do niego listy z osobistymi zwierzeniami. Za jego rządów został zrealizowany jedyny z planów gospodarczych zakończony sukcesem – Plan Trzyletni. Trzeba jednak podkreślić, że dziś postać Bieruta postrzegana jest prawie jednoznacznie negatywnie. Z czasem na światło dzienne wychodziły kolejne informacje dotyczące prowadzonej przez niego brutalnej polityki względem szeroko rozumianej opozycji – działaczy, byłych żołnierzy czy po prostu osób „nieprawomyślnych”. W okresie, gdy sprawował on najważniejszą funkcję w państwie, w więzieniach odbywało wyroki z powodów politycznych w sumie kilkaset tysięcy osób.

Przestrzeń

Grób Bolesława Bieruta znajduje się przy głównej alei. Stoi na niewielkim sztucznym wzniesieniu oddalonym kilka metrów od drogi. Pomnik ma kształt masywnego kamiennego bloku z napisem: „Bolesław Bierut 1898-1956”. Monumentalny grobowiec miał dawać wyraz pamięci o mężu stanu, który zbudował Polskę Ludową.

2 O postaci Bieruta można także przeczytać w „Etnografii do kieszeni” nr 3.



Fot. Feliks Tuszko

Współcześnie Pomnik od głównej alei oddziela długi na trzy, wysoki na co najmniej dwa metry równo przycięty żywopłot. Jeśli ktoś nie wie, co jest po drugiej stronie, nie będzie w stanie tego odgadnąć. Żywopłot pojawił się na początku nowego tysiąclecia. To nie przypadek, że ten grób został tak dokładnie ukryty. Po przemianach 1989 roku Bolesław Bierut nie mógł już liczyć nawet na przychylność władzy. Proces usuwania z przestrzeni publicznej symboli czasów minionych rozpoczął się demontażem pomnika Feliksa Dzierżyńskiego z przestrzeni Placu Bankowego w Warszawie. To efekt dopuszczenia do publicznego dyskursu narracji historycznej innej niż ta „oficjalna”, odgórnie narzucana przez władzę PRL. W przypadku „ukrycia” grobu Bieruta decydenci symbolicznie odebrali chwałę mogile człowieka, który w świadomości wielu istnieje nie jako bohater, lecz jako zbrodniarz komunistyczny. Inicjatorzy zmiany musieli zmierzyć się z faktem, że miejsce pochówku jest

miejszem szczególnie chronionym ze względu na intymny charakter uczuć z nim związanych. Każda próba ingerencji bezpośrednio w obiekt mogła się spotkać z mocną krytyką. Będąc jednak na widoku, mógłby wręcz drażnić oczy warszawiaków, lepiej więc było o nim zapomnieć.

Żywopłot sprawia, że grób Bieruta jest zupełnie niewidoczny, ukryty. Żeby sprawdzić, co kryje się za dużą powierzchnią gęstej zieleni, trzeba zatrzymać się i zboczyć z głównej drogi. Tylko osoby wcześniej „wtajemniczone” wiedzą, gdzie go znaleźć. Żywopłot działa w dwie strony. Z jednej strony jest całunem zapomnienia, z drugiej zaś chroni osoby składające kwiaty przed ewentualną krytyką ze strony innych odwiedzających cmentarz.

Blisko

W przestrzeni wokół grobu Bieruta łatwo wyróżnić dwie sfery pamięci.

Jedynymi osobami, które koło południa 1 listopada 2013 roku przekroczyły granice żywopłotu i zapaliły znicze, były trzy starsze kobiety, zupełnie już siwe. Wyglądały na ponad 80 lat.

Ich wiek pozwala przypuszczać, że należą do pokolenia, które w latach 50. cieszyło się ze zwycięstwa nad faszystowską koalicją czy ponownego odzyskania niepodległości³. Trudno powiedzieć, czy ich euforia wynikała z samego faktu końca wojny i nastania nowych czasów, czy raczej stanowiła efekt ówczesnej optymistycznej propagandy. Po drugiej wojnie światowej wiele osób z entuzjazmem podchodziło do budowy systemu komunistycznego w Polsce. Pierwszy Sekretarz mógł jawić się w świadomości części Polaków jako mąż stanu, który odbudował Polskę z ogromu wojennych zniszczeń.

3 O tym wojennym pokoleniu przeczytasz w „Etnografii do kieszeni” numer 3.

Jedną z kobiet odwiedzających grób była zakonnica.

Wizyty tych trzech starszych kobiet łączyło to, że robiły to samotnie, po cichu, prawdopodobnie ze szczególnej potrzeby pamięci. Intymny i prywatny charakter tych trzech sytuacji sprawił, że w ich zachowaniu nie było demonstracji, ostentacji czy udawania, a jedynie indywidualna praktyka upamiętnienia.

Daleko

Sfera „dalsza” mieści się przy głównej alei. Pierwszego listopada ciągnie tędy nieprzerwany tłum ludzi. Tematem rozmów są najczęściej mijane groby, stające się pretekstem do krótkiej lekcji historii dla towarzyszących spacerom dzieci lub do osobistych wspomnień. Zmarłe osoby publiczne mogą liczyć na kilka plotek na swój temat i – w zależności od tego, jakie poglądy polityczne mają odwiedzający – aprobujący lub niechętny komentarz.

Stojąc w tłumie, łatwo się można zorientować, że Bierut nie odszedł w zupełne zapomnienie. Miejsce pochówku pierwszego sekretarza PZPR, choć ukryte, istnieje, a odwiedzający cmentarz z łatwością je lokalizują. Przechodząc główną aleją, informują się, kto leży pochowany po prawej stronie w głębi. Szukanie tematów do rozmów i kierowanie uwagi w tamtą stronę wydaje się całkiem oczywiste. Nic tak nie pobudza do rozmowy, jak tematy kontrowersyjne, wobec których trudno jest zachować obojętność. Postać Bieruta do takich należy.

Przemierzający główną aleję, gdy mijali miejsce pochówku Bieruta, komentowali:

[Tu leży ten komunistyczny prezydent](#)

lub:

Ten morderca w takim sarkofagu leży... Jezu!

Ale pojawił się i inny głos, który mówi o intencjach osób komentujących:

Narzekasz tylko, zamiast spokojnie pospacerować...

Można zauważyć pewną pokoleniowość perspektyw. W komentarzach osób w średnim wieku, które były dorosłe w momencie transformacji systemowej, pierwszy sekretarz jest często oceniany negatywnie. To są osoby, dla których istotne jest rozliczenie się z przeszłością. Kryją w sobie żal, który wyrażają na cmentarzu, że pewne osoby czy wydarzenia w pamięci zbiorowej nie zostały tak jednoznacznie potępione, jak to się dokonało w ich osobistej pamięci:

Grób Bieruta. Z chęcią nasikałbym.

Jednak Bierut, w szczególności dla młodszych pokoleń, znających go jedynie z przekazu rodziców czy nauczycieli, istnieje jako ciekawostka, wobec której można się odnosić z dystansem.

Co ty mnie będziesz ciągał po grobach komunistów?

– ze śmiechem powiedziała młoda dziewczyna, gdy jej chłopak zaproponował zmianę ustalonej wcześniej trasy, tak by podejść do miejsca pochówku Bieruta.

W zasłyszanych przeze mnie rozmowach wyczuwalna była ironia. Nawet wtedy, gdy wrogość do osoby Bieruta dominowała w komentarzu, uchwytny był przynajmniej delikatny brak powagi. Ludzie mogli wyczuwać, że roszczenie odnoszące się do braku pełnego rozliczenia się z okresem PRL w przypadku grobu Pierwszego Sekretarza PZPR ma w sobie coś absurdalnego, ponieważ jego realizacja istnieć może jedynie w sferze wyobrażeń.

Spotkanie

W momencie gdy jedna ze starszych kobiet zapalała znicz, dołem szły cztery znacznie młodsze od niej kobiety. W milczeniu wymownie patrzyły na ten gest upamiętnienia. Spojrzenia, które padały na postać starszej pani, zawierały w sobie niesmak wobec złamania normy, która została wyrażona w stwierdzeniu jednej z nich:

Pewne osoby nie zasługują, by o nich pamiętać.

W czasie gdy druga ze starszych kobiet składała kwiaty, a przez następnych kilka chwil oddawała się kontemplacji, podszedł bliżej nie-młody mężczyzna, dla którego zauważona przezeń sytuacja wydała się obraźliwa:

Składa pani hołd mordercy! Wstydziłaby się pani...

– wykrzyczał. W odpowiedzi kobieta wyraziła wyłącznie rezygnację:

Niech mi da pan spokój.

Nie miała ochoty dyskutować na ten temat. Bez słowa odeszła, dając wyraz osobistemu charakterowi jej wizyty. Nie chciała, by jej sposób wyrażenia pamięci był odebrany w kategorii demonstracji.

Jacek Kuroń

Przestrzeń

Trzecim miejscem, w którym przyglądałem się praktykom upamiętniania, był grób Jacka Kuronia – zmarłego w 2004 roku dysydenta okresu PRL.

W 1964 roku Kuroń, wraz z Karolem Modzelewskim, napisał *List Otwarty do Partii*, który był pierwszą poważną krytyką istniejącego systemu ze strony członków PZPR. W następnych latach współtworzył Komitet Obrony Robotników. W 1989 roku uczestniczył w obradach Okrągłego Stołu, by potem pełnić funkcje Ministra Pracy i Polityki Społecznej w rządzie Tadeusza Mazowieckiego i Hanny Suchockiej. Jacek Kuroń został pochowany tuż przy głównej bramie cmentarza. Jego grób jest jednym z pierwszych, które się mija, idąc centralną aleją.

Kuroń został pochowany w jednym rzędzie z Bronisławem Geremkiem i Leszkiem Kołakowskim. Pochowanie ich koło siebie jest wyraźnie nieprzypadkowe. Wszystkie te osoby były sobie bliskie ideowo. Z początku byli lewicowymi idealistami, członkami Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, by z czasem przejść wewnętrzną przemianę i stać się krytykami komunizmu. Kołakowski był jedną z pierwszych osób, która opozycyjne roszczenia chciała widzieć jako „reformistyczną orientację”, przez którą rozumie się wiarę „w możliwość skutecznych presji częściowych i stopniowych, czynionych w perspektywie społecznego i narodowego wyzwolenia” (Kołakowski 2006).



Fot. Feliks Tuszko

Bezpośrednim następstwem przyjęcia przez opozycję strategii zmiany politycznej zawartej w powyższej myśli była pokojowa przebudowa systemu komunistycznego na demokratyczny – jej najistotniejszym wydarzeniem były obrady Okrągłego Stołu, których Bronisław Geremek i Jacek Kuron byli uczestnikami.

Organizacja przestrzeni, w której niedaleko siebie zostały pochowane bliskie sobie osoby, pozwoliła zaistnieć ciekawemu zjawisku. Jako że przestrzeń między poszczególnymi nagrobkami jest niewielka, nie ma fizycznej możliwości, by zmieścić przed każdym grobem znicze adresowane do konkretnej osoby. Gęsto ustawione świece tworzą niekształtną formę rozciągniętą pomiędzy kilkoma grobami. Zlewająca się powierzchnia płonących świec odzwierciedla zlewanie się pamięci o Kuroniu, Geremku, Kołakowskim. Poprzez zlewanie się pamięci rozumiem

nie to, że w dyskursie publicznym są traktowani jako jedna osoba, lecz to, że w sytuacji wizyty na cmentarzu te postacie przenoszone są do rangi jednego symbolu, wyrażającego bliską sobie przynależność ideową. Zapalając znicz jednemu z nich, ludzie składają symboliczny hołd im wszystkim.

To, że postawione znicze się zlewały, sprawia, że ilościowa próba określenia (po liczbie zniczy), o której z trzech postaci ludzie najmocniej pamiętają, może wydawać się niemożliwa. Da się jednak zauważyć, że gęsta i rozciągnięta forma ze świateł wyraźnie wybrzusza się na wysokości grobu Kuronia. Być może to właśnie jego postać stanowi rdzeń tożsamości ludzi przystających pod wymienionymi trzema grobami.

W przypadku mikrorzeczywistości skoncentrowanej wokół miejsca pochówku Jacka Kuronia odrębność dwóch sfer – bliższej i dalszej – była bardzo wyraźna. Powierzchnia ustawianych zniczy powiększała się sukcesywnie, zmniejszając jednocześnie przepustowość głównej alei. Ludzie przystający na chwilę dodatkowo hamowali ruch. Inni, dla których grób Kuronia nie był celem wizyty, byli zmuszeni tłoczyć się, by móc przejść dalej. Sytuacja wymagała od nich podjęcia dodatkowej czynności wyminięcia zarówno zatrzymujących się osób, jak i ustawionych zniczy. Skłaniało to przechodniów do choć chwilowej refleksji nad powodem aż takiego tłoku tuż przy wejściu na cmentarz. Z tego powodu „sfera dalsza” owocowała dużą ilością krytycznych komentarzy.

Blisko

Pierwszego listopada 2013 roku grób Kuronia był jednym z częściej odwiedzanych na Wojskowych Powązkach. Przed miejscem jego pochówku co chwilę ktoś się zatrzymywał. Być może to kwestia lokalizacji, która

sprawia, że trudno jest nie przejść obok niego. Wydaje się jednak, że nie to jest najważniejszą przyczyną. Istotne wydaje się raczej symboliczne znaczenie osoby Kuronia. W komentarzach osób odwiedzających jego grób Jacek Kuroń nie jawi się jako człowiek, o którym pamięta się ze względu na konkretne zasługi, ale w sposób uproszczony jako:

wielki Polak,
wspaniały człowiek,
bohater narodowy.

Odwiedzający zdają się nie wchodzić w istotę tego, kim był i co robił. Najważniejsze jest to, jaką deklarację niesie postawienie znicza pod jego grobem, a ta może się różnić w zależności od osoby odwiedzającej.

Wśród osób zapalających znicze pod grobem Kuronia dominowały osoby czterdziesto- lub pięćdziesięcioletnie. Studenci czy emeryci to w stosunku do nich niewielkie grupy. Tych odwiedzających łączy pokoleniowe doświadczenie przełomu 89 roku. Wkraczając w nowy ustrój, osoby te były pełne ideałów i nadziei związanych przyszłością. Dla tego pokolenia Kuroń stał się symbolem, któremu hołdowanie jest tożsame z akceptacją transformacji systemowej i powstałej w jej wyniku III Rzeczypospolitej.

Z drugiej strony możliwe jest inne odczytywanie osoby Kuronia: jako symbolu niezgody na istnienie społecznych nierówności. Pod koniec swojego życia Kuroń zaczął coraz bardziej buntować się wobec tego, że system, jaki między innymi on projektował, daleki jest od realizacji ideałów społecznej solidarności. Ten bunt wyrażały pytania, które zadawał swoim znajomym, dawniej dysydemtom, wtedy już przedstawicielom władz: „Do czego wolność? Do czego chcecie wykorzystać zdobytą wolność? Kto i w jaki sposób ma w niej uczestniczyć? Co się stało z naszymi wspólnymi marzeniami?” (Kuroń 2009).

Zapalanie zniczy przy grobie Kuronia może być wyrazem lewicowej wrażliwości stawiającej pytania o sens i sposób funkcjonowania kapitalizmu, w momencie gdy staje się on przyczyną społecznego wykluczenia.

Podobnie jak znacząca była obecność ludzi w średnim wieku, podobnie istotna była nieobecność młodych, o których potocznie się sądzi, że naturalnym dla nich stanem jest stan buntu. Kuroń sam podkreślał znaczenie takiej postawy – „Człowiek, który dorasta, powinien buntować się przeciw zastanemu porządkowi świata. Bowiem zawsze ten porządek sprzeniewierza się ideałom, w których wychowuje się dzieci” (Kuroń 2009).

Być może dla młodych osób postacią jednego z ważniejszych dysydentów przestała odgrywać ważną rolę. Jego symbolika mogła się rozmyć z czasem. Współcześni młodzi „niepokorni” mogą też poszukiwać autorytetów gdzie indziej niż w historii, uważając, że zwrot ku przeszłości staje się przeszkodą w dążeniu do ideału. Przyczyna tej nieobecności może się jednak okazać znacznie bardziej prozaiczna – w szkołach zazwyczaj nie zdąży się przerobić historii najnowszej. W związku z czym uczniowie mogą po prostu nie wiedzieć, kim był współautor *Listu Otwartego*.

Innym powodem nieobecności studentów pod grobem Kuronia może być niski poziom zaangażowania społecznego tej grupy. Dla osób w młodym wieku, w którym bierność stanowi życiową postawę, a indywidualny sukces – główną wartość, mało atrakcyjnym czy też nic nie znaczącym wydaje się jeden z pierwszych propagatorów idei społeczeństwa obywatelskiego w Polsce.

Daleko

Rzeka ludzi przemieszczała się od bramy w głąb cmentarza. Kierowali się do wcześniej przez siebie wybranych grobów. Przy grobach Kuronia, Kołakowskiego i Geremka musieli się stłoczyć, by ominąć stojących tam ludzi. Ich samych przy tych grobach nic nie zatrzymywało – nie mieli ochoty, nic ich z pochowanymi tam nie łączyło lub też uważali, że ci zmarli nie zasługują na okazywanie im czci. Mimo to pamięć o Kuroniu w „dalszej sferze” była bardzo żywa i przeważnie miała charakter negatywny. Wiązało się to przede wszystkim, podobnie jak w przypadku osób zapalających mu znicze, z symbolicznym postrzeganiem jego osoby. W tym przypadku można powiedzieć, że dominowało tam zupełnie odwrotne odczytanie jego symboliki, niż to miało się w sferze „bliskiej”.

Przechodzący obok mężczyzna w średnim wieku wypowiedział się dość głośno i emocjonalnie o osobach stojących przy grobie Kuronia, mówiąc:

Jeżeli ktoś staje przed tym grobem, nie może być katolikiem.

Ten i jemu podobne komentarze prawdopodobnie świadczą o tym, że w postrzeganiu wielu osób środowiska, dla których Kuroń stanowi istotną część tożsamości, uważane są za przeciwne Kościołowi. Tym samym gest pamięci o autorze *Listu otwartego* może być odczytany jako przejaw postawy antychrześcijańskiej.

Poza symbolicznym rozumieniem osoby Kuronia istotne było to, że ludzie omijający jego grób często traktowali swoje zachowanie w kategoriach demonstracji. W ich gestach i wypowiedziach wyczuwalny był ostentacyjny ton. Ich komentarze były głośne, tak jakby powodowała nimi chęć prowokacji.

Groby ofiar katastrofy smoleńskiej

Przestrzeń

Dziesiątego listopada 2010 roku na Powązkach Wojskowych został odsłonięty pomnik, który praktycznie od razu zyskał miano jednego z najważniejszych na tym cmentarzu. Budowa monumentu była odpowiedzią na społeczne zapotrzebowanie na miejsce pamięci związane z tragicznym wydarzeniem oraz z niesioną przez nie traumą.

Sporej wielkości pomnik złożony jest z dwóch kamiennych form przestrzennych wbitych w ziemię. Na jednej z nich wypisane są imiona i nazwiska ofiar katastrofy, natomiast na drugiej znajduje się napis „Pamięci 96 ofiar katastrofy lotniczej pod Smoleńskiem. 10 kwietnia 2010 oddali życie w służbie ojczyzny w drodze na obchody 70 rocznicy Zbrodni Katyńskiej”. Po prawej i po lewej stronie, w dwóch rzędach rozmieszczone są groby 26 uczestników lotu. W większości groby są proste, nie różnią się od siebie.

Pomnik miał stać się miejscem *koncentracji* pamięci, w którym możliwe stałoby się symboliczne odwiedzenie grobu wszystkich ofiar, pomimo ich faktycznego rozproszenia po całej Polsce. Ma to aspekt zarówno praktyczny – daje szansę zapalenia jednego znicza – jak i symboliczny. Pomnik staje się swoistym centrum – wspólną przestrzenią, która przez swoją konstrukcję ma charakter agory, gdzie nieuniknione jest spotkanie osób o odmiennych poglądach.

Należy przy tym pamiętać, że cmentarz w swoim charakterze jest dla ludzi przestrzenią wypełnioną intymnością, miejscem spotkania

z bliskimi, których już nie ma. Jednocześnie w przypadku pomnika i grobów ofiar katastrofy większość osób odwiedzających je w tym dniu nie jest osobiście związana z ofiarami⁴. Pomnik to bowiem jedno z tych z miejsc na cmentarzu wojskowym, które „trzeba odwiedzić”.

Przez te trzy aspekty – wspólnotowy charakter, różnorodność poglądów oraz intymność przeżyć – pomnik Ofiar Katastrofy Smoleńskiej staje się przestrzenią konfliktogenną, czyli taką, w której konflikt wynika z samej konstrukcji przestrzeni, dlatego uniknięcie go jest praktycznie niemożliwe.

Blisko i daleko

Niemożliwe jest wyodrębnienie wśród odwiedzających dominującej kategorii osób. Częściej niż pod innymi grobami można było zauważyć całe rodziny.

Naturalne są objawy pamięci wyłącznie w sferze *bliskiej*. Jej przejawy były podobne dla większości znajdujących się tam osób. Ludzie powoli przechodzili od grobu do grobu. Zatrzymywali się, by na chwilę oddać się zamyśleniu czy modlitwie. Część odwiedzających przyszła tam dlatego, że zmarłe w wyniku katastrofy osoby publiczne były im światopoglądowo bliskie. Inni przyszli ze względu na to, że w katastrofie zginęli członkowie ich rodzin, przyjaciele czy znajomi. I to właśnie oni mieli dużo wspomnień albo refleksji, którymi dzielili się wzajemnie. Jeden z mężczyzn spacerujących przed grobami wspominał jednego z pilotów jako tego, który był

wyśmienitym pilotem; kilkakrotnym mistrzem świata w lotnictwie sportowym.

4 Podobnie jak w przypadku innych grobów na tym cmentarzu.

Nieco później kobieta w średnim wieku mówiła do swojego męża o tym, że ich znajoma prawdopodobnie też zginęłaby w katastrofie:

Gdyby ona nie miała dzień wcześniej 40 stopni gorączki, dziś przychodzilibyśmy na jej grób...

W tej sferze osobisty aspekt był najmocniej akcentowany. To sprawiało, że mikrorzeczywistość wokół grobów ofiar katastrofy najbardziej przypominała zwyczajną rzeczywistość, znaną nam z wizyt na grobach rodziny.

Jednak mimo zwyczajności przejawów pamięci, rzeczywistość przy grobach ofiar katastrofy smoleńskiej jest najbardziej złożona ze wszystkich tutaj opisywanych. To dlatego, że dwie sfery, „bliższa” i „dalsza”, zlewały się ze sobą w miejscu agory. Z jednej strony zlewanie się tych sfer odnosiło się do zachowań i pamięci przebywających tam osób. Z drugiej strony – do braku możliwości przestrzennego wyodrębnienia tych sfer. Przestrzeń agory jest przestrzenią wspólną, w której miejsce dla siebie mogły znaleźć osoby o sprzecznych wizjach dotyczących charakteru praktyk pamięci. Znaczy to, że jedna i ta sama osoba mogła z wewnętrznej potrzeby odwiedzać groby ofiar, a jednocześnie krytycznie odnosić się do w podobny sposób umotywowanych wizyt innych osób.

Najważniejszą rolę w wymieszaniu tych sfer odegrał charakter katastrofy smoleńskiej. Zginęły osoby ze wszystkich stronnictw politycznych. To sprawiło, że sytuacja z jednej strony łączy – przychodzą tam wszyscy, a z drugiej dzieli – posiadany światopogląd może określać specyfikę demonstrowanej pamięci.

Ludzie przed pomnikiem tłoczyli się znacznie bardziej, niż miało to miejsce przed indywidualnymi grobami. Ważne było, by stanąć tuż przed nim choćby na chwilę. Pomiedzy dwoma płytami tworzącymi pomnik jest przestrzeń, w której ludzie mogą postawić znicz czy położyć kwiaty. Pierwszego listopada ludzie kładli tam także inne rzeczy. Między innymi portrety ofiar lub kartki zadrukowane tekstem bądź wypisane markerem

– miały wskazywać na polityczny wymiar katastrofy. Owe „kartki” stały się elementem uruchamiającym na cmentarzu konflikt istniejący w społeczeństwie. Dwie wzajemnie nieznajome kobiety pokłóciły się:

- „Morderca”. Jak można w ten sposób pisać?
- Można. Ma Pani z tym jakiś problem?! Może lepiej by się Pani pomodliła!

Powyższa rozmowa w swoim przebiegu i charakterze jest schematyczna i reprezentatywna dla większości, które zaistniały pod grobami ze ścierania się ze sobą dwóch różnych wspólnot pamięci. „Morderca” jest słowem, które zostało napisane na papierowej kartce tuż po słowie „Tusk”. Autorzy umieszczonych na nich tekstów chcieli wskazać w ich treści na winnych śmierci ofiar. Takie kartki doskonale oddają sensowność odniesienia tej przestrzeni do funkcji agory jako miejsca, w którym każdy może wyrazić własne poglądy. W tym krótkim dialogu ujawniają się dwie różne specyfiki demonstrowania pamięci możliwe do zaobserwowania nad grobami ofiar katastrofy smoleńskiej.

Pierwsza dotyczy osób, dla których obecność kartek jest akceptowalna czy wręcz uważana za zasadną. Kobieta, która odpowiedziała na postawione pytanie retoryczne, uważała kartki za coś, z czym nie należy dyskutować. One nie są po prostu wyrazem walki politycznej przeniesionej na inny obszar życia. Podważenie znaczenia treści kartek uznała za zagrożenie. Dlatego zareagowała tak gwałtownie. Prawdopodobnie należy do grupy, przez którą katastrofa w Smoleńsku uznana została za zamach, którego sprawcy nadal przebywają na wolności. Oczywisty w tym wypadku jest strach przed osobami, które były w stanie posunąć się tak daleko w realizacji własnej polityki. Osobami, które w sprzyjającej sytuacji usunęłyby wszystkie stojące na drodze przeszkody. Kartki wydają się wyrazem krzyku wynikającego z bezsilności.

Dla osób reprezentujących wyżej opisaną specyfikę pamięci katastrofa smoleńska wydaje się stanowić istotny element tożsamości. Łączy ich ból po utracie bliskich sobie polityków i intelektualistów.

Z kolei inna specyfika pamięci była wyrażana przez pierwszą kobietę. Wydaje się, że przychodzi pod pomnik ofiar katastrofy smoleńskiej z wewnętrznej potrzeby serca. W tym aspekcie jej pamięć jest podobna do pamięci wyrażanej przez opisaną wcześniej kobietę. Natomiast charakter jej wizyty był zupełnie inny. Odróżniał ją brak demonstracji w jej zachowaniu. Kierowała nią bliskość z ofiarami katastrofy. Pierwsza kobieta poczuła się głęboko urażona napisami na kartkach. Było to uczucie na tyle silne, że nie chciała go zachować wyłącznie dla siebie. W akcie niezgody chciała się odnieść do wrażliwości innych przebywających tam osób. Jej reakcja prawdopodobnie mówiła o tym, że razi ją działanie, które postrzega jako nieadekwatne w takim miejscu.

W tej interpretacji pamięci o ofiarach nadaje się indywidualny i intymny charakter. Pamięć w tym ujęciu ma być wyłącznie sprawą osobistą, prywatną. Dlatego o cmentarzu i przestrzeni wokół pomnika myśli się jako miejscu, w którym możliwość intymnego wyrażenia bólu po śmierci bliskiego będzie dostępna tak samo dla każdego. Kartki wzbudziły tyle emocji, ponieważ były próbą zawłaszczenia przestrzeni wspólnej w sposób, który nie respektował wrażliwości wszystkich, dla których pamięć o ofiarach jest ważna.

Z drugiej strony możliwe jest płytsze odczytanie jej reakcji, która mogła oznaczać tylko to, że upatruje się innych przyczyn katastrofy niż te opisane na papierze. Pierwsza kobieta mogła należeć do wspólnoty pamięci, w której, gdy mowa o przyczynach, jednoznacznie odrzuca się tezę o zamachu na rzecz tezy mówiącej o katastrofie samolotu w wyniku zaniedbań pilotów. Stąd jej reakcja na napisy mogła być reakcją sprzeciwu wobec wprowadzania ludzi w błąd przez sugerowanie odmiennej wizji wydarzeń z 10 kwietnia 2010 roku.

Na zakończenie

Pamięć ze swojej natury odnosi się do perspektywy czasowej. Coś, co występuje w pamięci, mogło się wydarzyć półtora wieku, tak jak i kilka dni temu – zawsze jednak w przeszłości. Z biegiem lat niektóre fakty, z zasady niezmiennie, zmieniają swoje znaczenie w ludzkiej pamięci. Ludzie pewne rzeczy zapominają, inne stają się dla nich mało ważne, niektóre mogą powrócić jako przedmiot zainteresowania. Przykładem może być Dolinka Katyńska, do której od kilkunastu lat przychodzi coraz mniej osób. W tym okresie pojawiły się miejsca, których potrzeba odwiedzenia jest istotniejsza. Zjawisko to ma swoje źródło w przemianie ustroju politycznego. Przed Okrągłym Stołem wizyta w Dolince traktowana była jako manifestacja przeciw władzy PRL. W III RP tego rodzaju działanie straciło swoje uzasadnienie. Na popularności zyskały m.in. groby dysydentów czy ofiar katastrofy smoleńskiej.

Groby, które obserwowałem, także podlegają tym samym prawom czasu. W zależności od aktualnego kontekstu – na przykład polityki czy kultury – forma i charakter okazywanej tam pamięci może ulec zmianie. Szczególnie może to dotyczyć pamięci o nowszych grobach, która w tym momencie jest żywa, a która z czasem może ulec rozmyciu. Tak było z grobem Bieruta, pod którym w czasach PRL organizowano uroczystości, a który teraz stał się raczej grobem pomijanym. Dlatego właśnie obserwacja praktyk upamiętnienia zdaje się znakomitą metodą, jeżeli chce się badać zmiany w myśleniu o przeszłości czy teraźniejszości.

Feliks Tuszko (1992) – studiuje w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Działacz społeczny zaangażowany w pracę stowarzyszenia Inicjatywa Wolna Białoruś oraz Pracowni Duży Pokój. Wychowuje młodzież w warszawskim KIK-u.

Literatura

Demski Dagnostaw

2000 *Najważniejsze, żeby pamiętać*, „Etnografia Polska”, nr 44, s. 79-98

Jarosz Maria

2005 *Transformacja tu i teraz*, w: Maria Jarosz (red.), *Wygrani i przegrani polskiej transformacji*, Warszawa

Kożakowski Leszek

2006 *Tezy o nadziei i beznadziejności*, w: tegoż, *Czy diabeł może być zbawiony i 27 innych kazań*, Kraków

Kuroń Jacek

2009 *Autobiografia*, Warszawa

Nijakowski Lech

2008 *Polska polityka pamięci. Esej socjologiczny*, Warszawa

Nijakowski Lech

2004 *Siła zaklęta w kamieniu*, „Pro Memoria”, nr 20, s. 25-33

Sikora Sławomir

1986 *Cmentarz. Antropologia pamięci*, „Polska Sztuka Ludowa – Konteksty”, nr 40, s. 57-68

Wasilewski Witold

2009 *Pamięć Katynia. Działania opozycji*, „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej”, nr 5-6, s. 60-69

Źródła Internetowe:

http://sowa.website.pl/cmentarium/Cmentarze/CmWPrz_6.html

<http://wiadomosci.onet.pl/warszawa/obchody-70-rocznicy-akcji-pod-arsenalem/s3z5k>



Stare Miasto

Katarzyna Lipińska

*Bo Pani się nie bardzo orientuje w tym, co się dzieje w Warszawie,
bo to trzeba tam od spodu zajrzeć. Nie to, co się widzi tutaj
i historia Warszawy, tylko troszeczkę od spodu.*

(mieszkanca ulicy Brzozowej)

Jakim miejscem jest warszawska Starówka? Różnie można poszukiwać odpowiedzi na to pytanie. Jeżeli wybierzemy spacer wzdłuż gęsto tu rozmieszczonych witryn sklepowych, zobaczymy, jak podsumowała moja rozmówczyni, bursztyny i pierogi. Szczególnie pierwsze będą nam się rzucać w oczy:

Niech Pani tak naliczy te sklepy, ja mam niestety podejrzenia, może niesłuszne, że z tymi bursztynami to są jakieś przekręty. To jest niemożliwe, żeby utrzymać sklep, jak jest taka konkurencja, prawda? I to nie tylko na Piwnej, bo na Świętojańskiej ma Pani duży sklep narożny z bursztynami i potem tam też są z bursztynami

jakieś sklepy. A niech Pani jeszcze weźmie tak, na Wąskim Dunaju jest taki jubiler, prywatny, który nawet ładne rzeczy robi. A na Nowomiejskiej jak się idzie do Barbakanu, ma Pani chyba dwa sklepy z bursztynami.

Możemy również zadrzeć głowę i spojrzeć na fasady zabytkowych kamienic. Przyłączyć się do którejś z wycieczek i posłuchać, co mówią o tym miejscu przewodnicy. Wtedy dowiemy się, którądy król chodził z Zamku na modlitwę, gdzie torturowano skazanych i w której piwnicy mieszkał Bazyliszek. Jak pisała Ewa Klekot, siedemset lat historii zostanie dla nas przekształcone w bliżej nieokreśloną mityczną przeszłość (Klekot 2008, s. 6). Dzielnica stanie się makietą, służącą do przywoływania wspomnień o dawnej Warszawie.

A co to znaczy poznać miejsce „etnograficznie”? To, cytując Michela de Certeau, dotrzeć do miejsc „zamieszkanym” przez lokalne legendy i opowieści (de Certeau 2008, s. 107). Wymaga to wejścia w interakcję, rozmowy z mieszkającymi tu ludźmi. Dlaczego warto? Choć lokalne opowieści są ulotne i nie układają się w tak obiecującą całość, jak oficjalne reprezentacje, dają opis dużo bogatszy, a przez to ciekawszy. Jak pisał de Certeau, „przywracają niejasność historii” (2008, s. 96).

Ja na swoje przewodniczki wybrałam mieszkanki Starego Miasta, które sprowadziły się tu tuż po powojennej odbudowie. Zdecydowałam się na takie rozmówczynie, ponieważ pamiętają one najlepiej, jak zmieniało się to osiedle w XX wieku, kiedy podejmowane były decyzje kilkakrotnie zmieniające jego przeznaczenie. Ich punkt widzenia, a więc wyłaniająca się ze wspomnień wizja Starego Miasta, jest związany z ich pozycją społeczną – wszystkie pochodzą z inteligencji. O wyborze właśnie takich rozmówczyń zadecydował przypadek – ich wykształcenie (architektka krajobrazu i malarki) było istotne przy innych prowadzonych przeze mnie badaniach. To wówczas rozmowy z nimi zainspirowały mnie do przekazania ich doświadczenia Starówki.

Lokalność nie egzystuje w społecznej i historycznej próżni (de Certeau 2008, s. 100). Aby lepiej zrozumieć specyfikę staromiejskich historii, należy wpisać je w szerszy kontekst. Swoją opowieść o mieszkańcach Starówki zacznę więc od nakreślenia krótkiego szkicu o genezie powstania w tym miejscu dzielnicy mieszkaniowej, która jest poza tym także zabytkiem i atrakcją turystyczną. Przenieśmy się więc do końca XIX wieku, kiedy takie koncepcje zagospodarowania tej przestrzeni dopiero kietkowały.

...miejsce tylko ciasne i brudne

Stare Miasto przestaje być właściwą Warszawą pod koniec XVIII wieku, kiedy przyjęta podczas Sejmu Wielkiego „Ustawa o Miastach” oddaje pod władzę magistratu przylegające do niego prywatne jurydyki¹. Po likwidacji istniejących tu siedzib władz miasta i przeniesieniu ich na plac Teatralny dzielnica podupada i staje się miejscem zamieszkania biedoty, gdzie usytuowane zostają słynące z nielegalnych rozrywek knajpy, z których ochoczo korzystają zwłaszcza stacjonujący w pobliżu rosyjscy żołdacy (Crowley 2004, s. 11). Aleksander Głowacki, który wkrótce zastąpił jako Bolesław Prus, trafia do tego miejsca po przyjeździe do miasta raczej w wyniku ekonomicznego przymusu niż z chęci. Tutaj mieszczą się tanie kuchnie i stancje dla ubogich studentów (Warneńska 1989, s. 8-9). Nic dziwnego, że w *Lalce* o Starówce w zasadzie nie wspomina.

1 Jurydyki – prywatne miasteczka zakładane przez dostojników kościelnych bądź szlachtę, z własnymi władzami. Przykładowe XVII wieczne jurydyki Warszawy to Grzybów – z centralnym placem Grzybowskim, czy Mariensztat – wbrew powszechnemu mniemaniu nazwany nie na cześć Marii Sobieskiej (na jej cześć nazwano Marymont), lecz na cześć żony założyciela Marii Potockiej.

Jednak krótki fragment poświęcony tej dzielnicy, umieszczony w *Pamiętniku starego subiekta*, wiele nam mówi o ówczesnym jej charakterze:

Ja na przykład znam Stare Miasto od dziecka i zawsze wydawało mi się, że jest ono tylko ciasne i brudne. Dopiero kiedy pokazano mi jako osobliwość rysunek jednego z domów staromiejskich (i to jeszcze w „Tygodniku Ilustrowanym”, z opisem!), nagle spostrzegłem, że Stare Miasto jest piękne... Od tej pory chodzę tam przynajmniej raz na tydzień i nie tylko odkrywam coraz nowe osobliwości, ale jeszcze dziwię się, że ich nie zauważył dawniej (Prus 1977, s. 213).

Dla osoby z epoki, takiej jak Rzecki, wartość zabytkowa „Starego” miasta *nie jest* oczywista. Dyskurs „dziedzictwa” pojawia się u progu XIX stulecia na zachodzie Europy jako reakcja na gwałtowne przemiany społeczne, które wówczas miały miejsce – rewolucje, które zapoczątkowały państwa narodowe. Dotychczasowe rezydencje wielmożów, mieszczańskie kamienice oraz przybytki kościelne stały się „własnością narodu” i narodziła się potrzeba stworzenia dla nich nowej historycznej narracji (Choay 2001, s. 83-84). Powoli zaczynają powstawać instytucje oraz wyspecjalizowane katedry zajmujące się badaniem wartości historycznej i estetycznej obiektów zgłoszonych do zachowania. To ci specjaliści do dziś wyznaczają ramy prawomocnego dyskursu o zabytkach przeszłości (Smith 2006, s. 29-30). Zdumienie Rzeckiego można przyrównać do naszego zdziwienia, gdy niepozornie wyglądający blok mieszkalny z lat 60. zostaje uznany za „zabytek późnego modernizmu”.

Na fali tych tendencji, na przełomie wieków XIX i XX powstaje w Warszawie Towarzystwo Opieki nad Zabytkami Przeszłości (Jozefacka 2011, s. 58-59). Na swoją siedzibę wybiera właśnie Stare Miasto, ale w związku z niewielkim wsparciem instytucjonalnym ze strony zrusyfikowanego

magistratu i lokalnych uczelni² jego osiągnięcia pozostają skromne. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości wyzwaniem dla narodowych władz jest rozwiązanie problemu ogromnego zapóźnienia cywilizacyjnego, również nowo powołanej stolicy, i kwestie symboliczne zostają odłożone na później.

Do 1930 roku podjęte zostają jedynie sporadyczne prace renowacyjne, a kilka położonych przy rynku kamieniczek przeznaczona się na siedzibę Muzeum Miasta Warszawy (Jozefacka 2011, s. 160). Dzielnicę nadal zamieszkuje biedniejsza ludność. Jedna z moich rozmówczyń z rozważeniem podsumowała niedawne plany stworzenia na Starym Mieście rzędów platanów, „jak przed wojną”. Z dzieciństwa wyniosła wspomnienie tej dzielnicy jako zaniedbanej i nieinteresującej.

Druga, która zamieszkała na Starówce odbudowanej po wojnie, wspomina:

Jak myśmy tutaj zakładali telewizję, jeszcze nie było kablówki i trzeba było antenę założyć, na dachu, przyszedł facet, wylazł na ten dach i nie wraca, i nie wraca. Wreszcie przyszedł i mówi: Tak siedziałem na tym dachu i tak patrzałem, i tak myślałem sobie: Jaka szkoda, że mój ojciec nie żyje, on tu mieszkał jako dziecko przed wojną i pamięta, jaka to była dzielnica nędzy, a jak teraz tu jest pięknie. Czyli od przedwojny to też się zmieniło bardzo. To była bardzo biedna dzielnica.

We wspomnieniach przedwojennych mieszkańców Stare Miasto swoim szemranym charakterem w niczym nie ustępuje ówczesnemu Powiślu czy Woli. Jedna z moich rozmówczyń, mieszkająca przy ulicy Nowomiejskiej, tak wspomina rozmowę z jednym z przedwojennych mieszkańców:

2 Pamiętajmy, że Warszawa nie była wówczas stolicą, tylko większym miastem w periferyjnej rosyjskiej guberni Prywiskij Kraj (Drozdowski, Zahorski 1981, s. 240).

Pewien facet mówi, że mieszkał w budynku poniżej skarpy, już nie ma tego budynku. I on mówi, że to była straszna dzielnica, straszna nędza, ale ten budynek był taki, że w czasie okupacji żaden Niemiec by tam nie wszedł, bo by został zarżnięty, bo to był budynek, gdzie mieszkali nożownicy. I mówi, zresztą jednym z nożowników ja byłem. I to są takie wspomnienia, które świadczą o tym, że po odbudowie to się zrobiła bardzo elitarna dzielnica, a przed wojną była taka szemrana dzielnica.

Pierwsze kompleksowe projekty zagospodarowania przestrzennego Starówki i jej „zeuropeizowania” pojawiają się dopiero za czasów komisarzyczej prezydentury Stefana Starzyńskiego (1934–1939). W swoim odczycie *Rozwój stolicy*, wygłoszonym w 1938 roku, Starzyński tak nakreślił wizję włączenia Starego Miasta w proces „unowocześniania” Warszawy:

Na Starym Mieście wiele mamy jeszcze do zrobienia, ale za to, gdy prace odpowiednie będą ukończone, cała ta dzielnica jako *jeden wielki zabytek* będzie wspaniałą i interesującą atrakcją turystyczną (Starzyński 1938, s. 73, podkreślenie moje).

Te ambitne założenia, jak wiemy, nie zostały zrealizowane. Działania zbrojne II wojny światowej, zwłaszcza w czasie Powstania Warszawskiego w 1944 roku, doprowadziły do niemal całkowitego zniszczenia tej części miasta³.

3 W dniach 12 VIII – 2 IX 1944 roku na Starówce trwało oblężenie skierowane przeciwko utrzymującym ją powstańcom, dowodzonym przez ptk Karola Ziemskiego „Wachnowskiego”. Niemcy zastosowali wówczas taktykę „spalonej ziemi”, niszcząc budynek po budynku, zarówno z ładu, jak i z powietrza (Drozdowski, Zahorski 1981, s. 479).



Odbudowa Starego Miasta w Warszawie, 1952 rok.
Autor: Zbyszek Siemaszko/ Źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe

Nowe życie i nowa treść

Decyzja o odbudowie Warszawy została podjęta przez nowo utworzony rząd komunistyczny już w styczniu 1945 roku. Powołano wówczas Biuro Odbudowy Stolicy, wraz ze specjalnym Wydziałem Architektury Zabytkowej, kierowanym kolejno przez profesorów Jana Zachwatowicza i Piotra Biegańskiego. „Rekonstrukcja” historycznej zabudowy miała przyczynić się do legitymizacji nowego porządku, więc podkreślano i rozpowszechniano zasługi komunistów w przywracaniu i zabezpieczeniu „narodowego dziedzictwa” zniszczonego przez nazistów. Wszystkie działki budowlane w mieście, na mocy tzw. Dekretu Bieruta, znacjonalizowano i przystąpiono do realizacji sześcioletniego planu podniesienia stolicy z gruzów (Martyn 2001, s. 201-202).

Pierwszą część odbudowanej Starówki (okolice Rynku) przekazano uroczystie mieszkańcom Warszawy 22 lipca 1953 roku, w dziewiątą rocznicę powołania Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, a *de facto* – utworzenia ośrodka komunistycznej władzy w Polsce⁴. Na łamach tygodnika „Stolica”, założonego w 1946 roku w celu relacjonowania postępów w odbudowie Warszawy (Crowley 2011, s. 155), realizatorzy prac rekonstrukcyjnych odmalowywali obraz „nowej socjalistycznej dzielnicy”. Przypomniano m.in. założenia, które miały przyświecać architektom i urbanistom od momentu rozpoczęcia prac w 1945 roku. Silnie podkreślano, że dzielnica ta ma być osiedlem mieszkaniowym, z wygodnym dostępem do wszelkich potrzebnych punktów usługowych (Żaryn 1953, s. 4). Zespół staromiejski powstał z myślą o jego „twórczej

4 Była to częsta praktyka w latach odbudowy. W trzecią rocznicę oddano do użytku most Poniatowski, a w piątą Most Śląsko-Dąbrowski i osiedle mieszkaniowe Mariensztat (Martyn 2001, s. 205-206).

adaptacji dla nowego życia i nowej treści”, pisał w tej gazecie prof. Piotr Biegański (1953, s. 3).

Mimo licznych kontrowersji związanych z rekonstrukcją zabytkowych kamienic (zob. Martyn 2001) odbudowanie Starówki zostało przyjęte przez warszawiaków z ogromnym entuzjazmem. W prywatnych wspomnieniach podkreślany był wysiłek zwykłych ludzi włożony w powstanie tego miejsca, towarzyszyły im również indywidualne wzruszenia związane z powrotem do domu (zob. np. Fukier 1996, s. 14–20).

W celu realizacji postulatu „socjalistycznego” charakteru osiedla mieszkaniowego Stare Miasto przydziały mieszkań miały przebiegać według „klasowego klucza”. Sprowadzili się tutaj zarówno robotnicy, jak i inteligencja, głównie architekci i plastycy odpowiedzialni za odbudowę. Jak wspomina moja rozmówczyni, która otrzymała tu mieszkanie w 1954 roku:

W zasadzie tutaj przydziały dostawali i robotnicy, i inteligencja. Pamiętam zresztą, że w naszym budynku, tu jest sześc mieszkań, była wyłącznie inteligencja. Myśmy byli z mężem pierwsi, którzyśmy się tu wprowadzili, i jak się wprowadzali tam piętro niżej, tam jakieś kosze stały, myśmy zaglądali, jakie książki, „aaa dobre książki mają, to znaczy, do rzeczy ludzie będą”, i rzeczywiście.

Stare Miasto szybko zdobyło renomę osiedla inteligenckiego. Jak wyznał mi jeden z rozmówców, dziennikarz, który sprowadził się tu w 1988 roku, jego główną motywacją przy zamianie mieszkania była możliwość obcowania na co dzień z ludźmi takimi jak:

Geremek, Szaflarska, Tadzio Łomnicki. Łomnickiego spotykałem w mięsny, co się na Pivnej wchodziło, po schodkach. Szaflarską widywałem wtedy, myślałem „Boże, jaka staruszka”, a ona wciąż żyje.

Zupełnie przez przypadek władza socjalistyczna doprowadziła do swego rodzaju „gentryfikacji” tej okolicy, zasiedlając ją „zasłużonymi” przedstawicielami warszawskiej elity intelektualnej. We wspomnieniach moich rozmówców należących do „inteligencji” ci „pozostali” mieszkańcy pojawiają się rzadko. Relacje pomiędzy tymi dwoma światami, wbrew ogólnym działaniom władz, pozostają powierzchowne:

W moim budynku mieszkała sama inteligencja, ale przychodziła jedna pani z kamienicy obok prać pieluchy, przychodziła tu do nas sprzątać, jej mąż murarz coś u nas robił, zresztą fatalnie zrobił, te kafelki zaczęły spadać.

Kolejnymi zamierzeniami, których nie udało się zrealizować ówczesnej władzy, było utrzymanie jakości życia na osiedlu i zadbanie o techniczny stan lokalnych budynków:

Na początku ta dzielnica wyglądała bardzo ładnie, była rzeczywiście czysta, sklepy... Tak jak myśmy się tu wprowadzili w 55 roku na jesieni, no to jeszcze i zaopatrzenie było bardzo przyzwoite w tym sklepie, co jest teraz spożywczy, ja pamiętam, tam można było gotowe sznyce cielęce, kotlety schabowe kupić, rumsztyki wołowe i kotlety mielone, gotowe do położenia na patelni. Potem, tak z latami, to psuło się, psuło, a już w siedemdziesiątych latach się zaczął robić dramat, a w osiemdziesiątych to już koszmarnie. A w międzyczasie to nowe, ślicznie odbudowane Stare Miasto zaczęło się sypać, tynki odpadały, dachówki spadały, chodniki się wybrzuszały i nie robiło się nic.

Jako przedstawiciele „klasy wyższej”, której cechą dystyngtywną jest wg Pierre’a Bourdieu estetyczne, a nie funkcjonalne podejście do życia (Bourdieu 2005, s. 70-71), moi rozmówcy nie zrażali się jednak podobnymi warunkami. Zarówno ich mieszkania, krytykowane nieraz

przez „profanów” za niepraktyczność, jak i „klimat” miejsca były i nadal są źródłem lokalnej dumy. Szczególnie istotne było to, że wbrew ekonomicznym trudnościom kwitło tu życie: na wino chadzało się do „Fukiera”, a na kawę do „Krokodyla” przy rynku (obecnie w miejscu obu



Festyn na Rynku Starego Miasta w Warszawie, lata 70.–80.
Autorka: Grażyna Rutowska/ Źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe

knajp znajdują się restauracje należące do członków rodziny znanych restauratorów – Gesslerów). Tu artyści mieli swoje pracownie. Poza tym „wszystkich” się znało. Moje rozmówczynie z łatwością wskazują, kto gdzie mieszkał, i najczęściej wymieniane są wtedy znane w inteligentnych kręgach nazwiska, jak Lutosławski (brat kompozytora) czy Cecylia Wojewoda (tłumaczka m.in. Henry’ego Millera i Philipa Rotha). Jednocześnie zwracają uwagę, że istniała wówczas równowaga pomiędzy turystyczną i rekreacyjną odstoną Starego Miasta a jego mieszkaniowym charakterem:

Potem, w latach siedemdziesiątych, wymyślono jakieś kwaciarki, które stały na Rynku, wie Pani, w strojach ludowych. Wyglądało to idiotycznie trochę, ale ponieważ to miłe kobiety były, to można było znieść jakoś. Ale przedtem to było normalne życie. Tak jak po prostu w mieście. Stare Miasto nie było nastawione tak na turystów. Oczywiście, że było nastawione, ale nie w tym stopniu. Teraz te restauracje wszędzie porobili, wcześniej nie było takiego spędu w ogóle.

Związane to było ze specyfiką peerelowskiej rzeczywistości, w której ruch turystyczny nie był tak nasilony jak obecnie.

Jeden wielki zabytek

Marzenia Starzyńskiego o posiadaniu w Stolicy zabytku o klasie światowej ziściły się dopiero pod koniec PRL, a do zachowania tego stanu doszło już po przełomie w latach 90. W 1980 roku warszawski zespół staromiejski zostaje wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO, co ostatecznie przypieczętowało jego status atrakcji turystycznej. Lista ta stała się bowiem w latach 70. XX wieku ostateczną instancją w definiowaniu, czym jest światowe bądź narodowe dziedzictwo (Kowalski 2011, s. 73).

W trakcie transformacji politycznej w latach 90., w związku z tym szczególnym statusem, Starówka musiała zostać zaadaptowana do pełnienia nowych funkcji. Po raz drugi w swojej prywatnej historii moi rozmówcy mieli się zmierzyć z narzuconą im nową koncepcją miejsca, opartą na „monumentalnej” ideologii czasu, zaprzęgniętej do ogólnonarodowych celów (Herzfeld 2006, s. 129).

Przekształceniom miejsca w atrakcję turystyczną często towarzyszą procesy gentryfikacyjne, które w swej klasycznej postaci, w krajach wolnorynkowych, przebiegały, wg Neila Smitha, w trzech etapach. Najpierw dane miejsce zaczynało być zasiedlane przez lokalną elitę, najczęściej intelektualną i artystyczną, następnie państwo, poprzez politykę ekonomiczną, doprowadzało do przekształcania dawniej różnorodnych osiedli w enklawy klasy średniej, aż w końcu strategia ta rozszerzała swój zasięg o sąsiadujące dzielnice i doprowadzała do całkowitego wyparcia biedniejszych mieszkańców poza centra metropolii (Smith 2006, s. 193-199).

Na warszawskim Starym Mieście model zmian różnił się ze względu na odmienne systemy polityczne i gospodarcze, które wpływały na lokalną politykę. Choć dzielnica, jak już wiemy, została zasiedlona przez

„klasę wyższą” wiele lat temu, nie było mechanizmów rynkowych, które zareagowałyby na tę zmianę. Poza tym w PRL zlikwidowano prawo własności do zajmowanej przestrzeni. Problemy z tym związane pojawiły się już po transformacji, kiedy przedwojenni właściciele zaczęli domagać się zwrotów lub odszkodowań za działki, które im odebrano:

Wie Pani, wyprowadzić się łatwo tym, którzy mają kupione mieszkanie, ale ja nie mam kupionego mieszkania, czyli jestem związana z mieszkaniem. Tutaj myślę, że bardzo dużo ludzi nie mogło wykupić mieszkań. A teraz jest taka kombinacja: część ludzi wykupiła, tam się zaczęli zgłaszać właściciele, część ludzi na przykład wykupiła, ja nie zdążyłam i są roszczenia. Od Dawnej do Celnej, od Brzozowej do Jezuickiej, to jest jeden kwartał i w związku z tym, jak się coś dzieje na tym terenie, to nie można już wykupić nic, załatwić żadnego aktu notarialnego. No i w ten sposób zostaliśmy uziemieni, jak to się mówi.

W związku z brakiem praw do pomieszczeń, które zajmowali, moi rozmówcy musieli część z nich oddać miastu:

Ja zajmowałam tutaj jeszcze ten środek, ale oddałam go miastu, ponieważ to był osobny lokal, i tam była moja pracownia. Ja tą pracownię zresztą sama projektowałam. Ale oddałam to miastu, bo po prostu nie stać mnie było, żeby utrzymać takie duże mieszkanie, którego nie mogę wynająć, nic nie mogę z tym zrobić, bo to nie jest moja własność, tylko administracji. Czy Pani wie, że zrobiono z tego lokal użytkowy? Czy wie Pani co to jest lokal użytkowy? To jest sklep, szewc, naprawa pralek, czegoś – to jest lokal użytkowy. I teraz niech Pani sobie wyobrazi, na trzecim piętrze lokal użytkowy. Oczywiście stoi puste, ile lat? I to nie ja jedna, tu dużo osób oddało pracownie, bo nie jest ich w stanie utrzymać. To przeważnie

były duże metraże, a pracowni nie wolno było wykupywać. Niech Pani sobie wyobrazi, że ich pracownie też stoją puste.

Kiedy na Starówkę zaczęły wkraczać biznesy prywatne, szybko okazało się, że małym graczom trudno się utrzymać. Wyśrubowane ceny czynszów doprowadziły do zmiany charakteru okolicy – pojawiały się i znikwały kolejne sklepy i restauracje, a następnie zostawały po nich stojące latami puste lokale. Tymczasem w PRL, przez długie lata funkcjonowały te same punkty usługowe, tak silnie wpisane w lokalną topografię, że do dziś to ich nazwy są punktem odniesienia dla mieszkańców:

Jeżeli Pani znała Stare Miasto, to na końcu był taki dobry sklep z hurtem, takich różnych przewodów, różnych tych drutów elektrycznych, na rogu Franciszkańskiej i Freta. Dlatego niektórzy mówią: w Elektrycznym. Gdzie Pani kupiła? A w Elektrycznym. A tam już dawno nie ma tego elektrycznego, tylko rzeczywiście powiększyli rozmiar tego sklepu i teraz ten sklep zniknął i jest taki całkiem dobry sklep spożywczy [Freta 53/55].

Obecnie stale zawęża się liczba sklepów, w których mieszkańcy mogliby załatwić codzienne sprawunki. Biorąc pod uwagę demografię Starego Miasta – większość jego mieszkańców to ludzie starsi, mieszkający tu od lat 50. – jest to bardzo kłopotliwe. Mieszkańcy robią zakupy m.in. na Pradze Północ, gdzie asortyment jest większy, a ceny niższe. Starsze panie, z którymi rozmawiałam, godzą się na ten stan rzeczy, ponieważ rozumieją, że Stare Miasto ma być „salonem Warszawy”, miejscem szczególnym. Jednak likwidację sklepów spożywczych także w jego okolicach uważają za nonsens. Opierając się na swoich doświadczeniach z innych krajów, komentują:

W każdym mieście turystycznym na Zachodzie jest bardzo drogo. Czyli wiadomo, że się ludzie nie zaopatrują na rynkach czy na

ulicach, gdzie chodzą turyści. Tam jest tylko restauracja. Wszystkie miasta są tak zorganizowane. Natomiast na obrzeżach, tak jak powiedzmy u nas na Podwalu, czy gdzieś dalej na bocznych ulicach, na Koźlej, powinien być jakiś sklep dla mieszkańców. Przecież ja mam doświadczenie, bo jak jeździliśmy do Paryża, to waluty zachodnie były w stosunku do złotego tak niebotycznie wysokie, że trzeba było szukać tańszego jedzenia, jak się wyjeżdżało. I ja szłam za kobietami, które nosiły te torby z zakupami, i tam na bocznych ulicach były sklepy, które były dla mieszkańców. I to były dobre sklepy, samoobsługowe, wie Pani, niedrogie i tam było wszystko dla ludzi.

Dawne miejsca „z tradycją” wypierane są przez nowe knajpy. Duże kontrowersje budzą zwłaszcza restauracje, których właścicielami byli bracia Gesslerowie. Nie dość, że ich powstanie doprowadziło do likwidacji dwóch kultowych niegdyś miejsc, jak kawiarnia „Krokodyl” i winiarnia „Fukier”, to także od lat miasto toczy spór ze znanymi restauratorami o nieuregulowane przez nich czynsze za lokale, które zajmowali oni właśnie przy staromiejskim rynku.

W związku z zawyżaniem cen nieruchomości na Starówce okolica się wyludnia. Jak zauważają moje rozmówczynie, ludzie, których stać na kupienie tu mieszkania, mogą w innych dzielnicach kupić atrakcyjniejszy apartament o większym metrażu. Zamiast nowych mieszkańców przybywają więc kolejne miejsca przeznaczone dla turystów:

Hostele to są całe mieszkania, do wynajęcia razem z pralką, wszystkimi urządzeniami kuchennymi. W tym budynku, pode mną jest, z boku to mamy trzy [hostele], z drugiej strony też i na dole też mamy jeden z boku, to właśnie „Sonata” pani Lutostawskiej. Nie wiem, jedna z pań zmarła właśnie niedawno, więc nie wiem, co tam będzie. I na parterze mieszkają jeszcze starzy lokatorzy, właściwie,

jedyni lokatorzy, jakich znam, to jest wnuk pani doktor Sz., duże mieszkanie odziedziczone i oni chcą sprzedać, ale nikt tego nie kupuje, tu nie ma ruchu.

Zarówno z przyczyn naturalnych (wielu dawnych mieszkańców tej dzielnicy poumierało), jak i ekonomicznych doszło do zaniku dawniejszych wspólnot. Tak jak pisałam, moje rozmówczynie doskonale znały i pamiętały mieszkania osób, których już nie ma, natomiast nowych sąsiadów w zasadzie nie znają. Bardzo rzadko się zdarza, że potomkowie, którym udało się wykupić mieszkanie, decydują się w nim zostać.

Wbrew wielu negatywnym aspektom komercjalizacji tego miejsca, mieszkanki Starówki pozytywnie oceniają jej walory turystyczne. Z przyjemnością obserwują życie kwitnące tutaj podczas weekendowych nocy. W takich momentach budzą się wspomnienia z czasów młodości:

Jak czasami wieczorem skąd gdzieś tam wracam, rzadko, ale jak czasami, to wtedy już wracam taksówką, jadę przez puściusieńkie miasto, wysiadam na Świętojerskiej, wchodzę na Freta, życie się toczy normalne, bo Warszawa na ogół, w porównaniu z tym, co ja pamiętam z lat 50. i 60., to jest w ogóle martwe miasto, a w tamtych czasach, skądinąd ponurych, to był jakiś ruch.

Tłumacząc się ze swoich dotychczasowych krytycznych uwag, moje rozmówczynie wyjaśniają, że rozumieją specyfikę tego miejsca:

To jest żywe miasto, no nie można sobie wyobrazić, że Stare i Nowe Miasto będzie sypialnią tylko, przecież to bez sensu. Nigdzie na świecie stare centra miast nie są sypialniami, tylko są bardzo ruchliwymi miejscami. Każdemu, komu się nie podoba, że tu jest hałas, może swoje mieszkanie sprzedać i większe kupić w innej dzielnicy.

Zupełnie inaczej oceniana jest jednak forma „atrakcji”, które Miasto próbuje narzucić przybywającym tu turystom. Ta spotyka się ze

zdecydowanym sprzeciwem, wręcz rodzajem estetycznego wstrętu, ze względu na jej ludyczność i brak wycucia dla charakteru miejsca:

Tak byłem przywiązana do tego zieleńca na dole, który został zamieniony w fontanny, i w zasadzie wszyscy uważają tutaj, że to był błąd, ta lokalizacja, ponieważ to miało pewien charakter, Nowe Miasto szczególnie miało charakter bardzo kameralny. Ja nie jestem osobą wierzącą, ale to, że tu jest kontemplacyjny klasztor, a tutaj się robi ten Disneyland, to jest jakieś nieporozumienie, tu jest ten kościół Panny Marii, najstarszy kościół warszawski, i pod tym kościołem odbywają się imprezy. Nie mówiąc o tym, że należało oczyścić i uporządkować ten zieleńiec, ale było kupę zieleni. Jak się z punktu tego pod kościołem patrzyło, to było trawa, krzewy, drzewa, a w tej chwili jest wybrukowane, szare, no jak beton to wygląda z góry. Nie mówiąc już o tym, że przez pół roku mamy



Stare Miasto dzisiaj – widok na ul. Wąski Dunaj. Fot. Katarzyna Lipińska

tu puste, dosyć niegustowne baseny i sterczą rury, a przedtem tu było kupę zieleni, oczko wodne z maleńkim wodotryskiem, chodzili starsi ludzie z laseczką na spacer, zakochane pary, studenci się uczyli, jak była pogoda, to ludzie się na kocach, na trawach opalali. No, żyło to, a w tej chwili w sobotę impreza, samochody, ryczące tłumy, zupełnie nie w charakterze tej dzielnicy.

Kolejna rozmówczyni, której okna wychodzą właśnie na wybrzeże Wisły, tak ocenia turystyczne zagospodarowanie tego terenu:

Nad Wisłą było osiemdziesiąt ogródków piwnych. Pani sobie może wyobrazić coś podobnego? Zupełnie zrobione, to był wielki interes, to milionowe interesy były. Bo to browary dały całe urządzenie, tylko żeby sprzedawać piwo. Czyli za darmo właściwie, wynajmując tylko miejsce, sprzedawano piwo, takie tak zwane z grilla kiełbaski, wie Pani, albo bigos, i to tak leciał ten zapach tutaj, tych przypalonych kiełbasek. No niemożliwe to było. No i oczywiście mocne uderzenie, przez całą noc do czwartej godziny nad ranem.

Spotkanie miejscowych z turystami naznaczone jest więc odrzuceniem przez tych pierwszych estetyki drugich, o których, parafrazując Bourdieu, można rzec, że „nie opanowali reguł sztuki” odpoczywania w tym miejscu (2005, s. 87). To właśnie na tej płaszczyźnie moi rozmówcy zaznaczają swoje „prawo do miejsca”, do określania tego, co w tej przestrzeni jest właściwe, a co nie.

Bez konkluzji

W swoim artykule opisałam jedynie fragmentaryczną historię Starego Miasta. Zdaję sobie sprawę, że wraz ze zmianą perspektywy, włączeniem do całościowego obrazu głosów turystów, lokalnych przedsiębiorców czy choćby młodszych mieszkańców narracja mogłaby okazać się zupełnie inna. Niemniej, jako etnografowie, jesteśmy skazani na takie „częściowe prawdy” (Clifford 1986), ponieważ każda historia, nawet ta przez duże „H”, pisana jest z jakiegoś punktu widzenia. Mam nadzieję, że podobne artykuły będą stanowić zachętę do krytycznego i wszechstronnego przyglądania się odwiedzanym przez nas miejscom. Zwłaszcza w Warszawie, gdzie nieustannie próbuje się wymazywać „niepasujące” do wizerunku historycznej Stolicy opowieści, ten sposób poznania wydaje się szczególnie cenny.

Katarzyna Lipińska (1990) – absolwentka Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej UW i kursu PTTK dla przewodników po Warszawie. Współpracowniczka Fundacji rozwoju wspólnot lokalnych „Na miejscu”. Obecnie studiuje Gospodarkę Przestrzenną na Uniwersytecie Warszawskim. Interesuje ją miasto jako społeczna i kulturowa przestrzeń życia.

Literatura

Biegański Piotr

1953 *Stare Miasto – pomnik kultury narodowej*, „Stolica”, 22 lipca 1953, nr 30 (297)

Bourdieu Pierre

2005 *Dystynkcja. Społeczna krytyka władzy sądenia*, Warszawa

Choay Françoise

2001 *The invention of historic monument*, Cambridge

Clifford James

1986 *Introduction: Partial Truths*, [w:] *Writing Culture. The Poetics and Politics of Ethnography*, red. George Marcus, James Clifford, Berkeley

Crowley David

2003 *Warsaw*, Trowbridge

de Certeau Michel

2008 *Wynaleźć codzienność*, Kraków

Drozdowski Marian M., Zahorski Andrzej

1981 *Historia Warszawy*

Fukier Henryk M.

1996 *Wspomnienia staromiejskie*

Herzfeld Michael

2006 *Spatial Cleansing. Monumental Vacuity and the Idea of the West*, „Journal of Material Culture”, vol. 11, nr. 1-2, s. 127-149

Jozefacka Anna

2011 *Rebuilding Warsaw: Conflicting Visions of a Capital City 1916–1956*, praca doktorska, Nowy Jork, Uniwersytet Nowojorski, Institute of Fine Arts

Klekot Ewa

2008 *Authenticity as a strategy: guiding foreign tourists in the Old Town of Warsaw*, [w:] *Exploring home, neighboring and distant culture*, red. Lech Mróz, Aleksander Posern Zieliński, Warszawa

Kowalski Alexandra

2011 *When Cultural Capitalization Became Global Practice: The 1972 World Heritage Convention*, [w:] *The Cultural Wealth of Nations*, red. Nina Bandelj, Frederick F. Wherry, Stanford

Martyn Peter

2001 *The Brave New-Old Capital City. Questions relating to the rebuilding and remodeling of Warsaw's architectural profile from the late-1940s until 1956*, [w:] *Falsifications in Polish Collections and Abroad*, red. Jerzy Miziołek, Peter Martyn, Warszawa

Prus Bolesław

1977 *Lalka*, Warszawa

Smith Laurajane

2006 *Uses of Heritage*, London

Smith Neil

2003 *Gentrification Generalized: From Local Anomaly to Urban 'Regeneration' as Global Urban Strategy*, [w:] *Frontiers of Capital: Ethnographic Reflections on the New Economy*, red. Melissa S. Fisher, Greg Downey, Durham

Starzyński Stefan

1938 *Rozwój Stolicy*, Warszawa

Warneńska Monika

1989 *Warszawskim szlakiem Bolesława Prusa*

Żaryn Stanisław

1953 *Dzieje odbudowy warszawskiego Starego Miasta*, „Stolica”, 22 lipca 1953, nr 30 (297)

Warszawskie audioprzewodniki miejskasciezka.pl

Jeśli chcesz spojrzeć na Warszawę z etnograficznej perspektywy, idź na spacer z naszymi audioprzewodnikami.



Audioprzewodnik, czyli krótki, dźwiękowy opis oglądanych przez zwiedzającego przedmiotów i elementów, stosowany jest w muzeach całego świata. My postanowiliśmy wyjść z audioprzewodnikami w przestrzeń Warszawy. Nasze audioprzewodniki powstają według filozofii: **ściągnij i idź**. Wystarczy pobrać ze strony jeden bezpłatny plik mp3, który zawiera wszystkie niezbędne informacje, aby wyruszyć na poznawanie miasta.